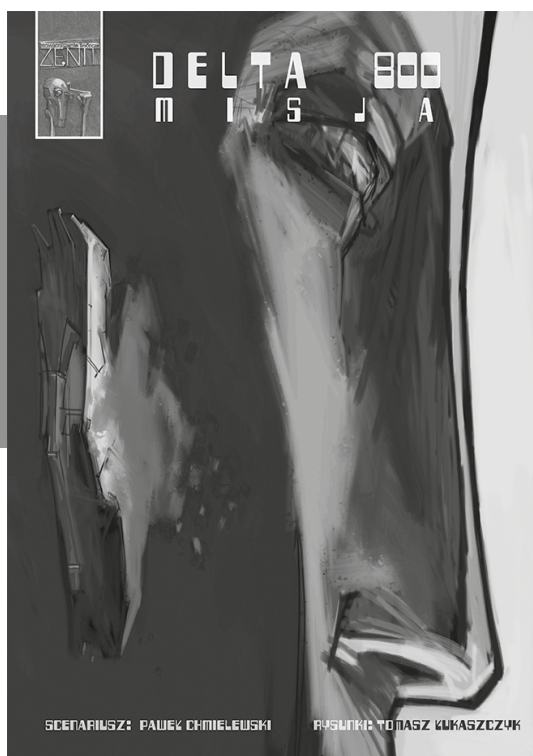


13 FANTASTYCZNYCH

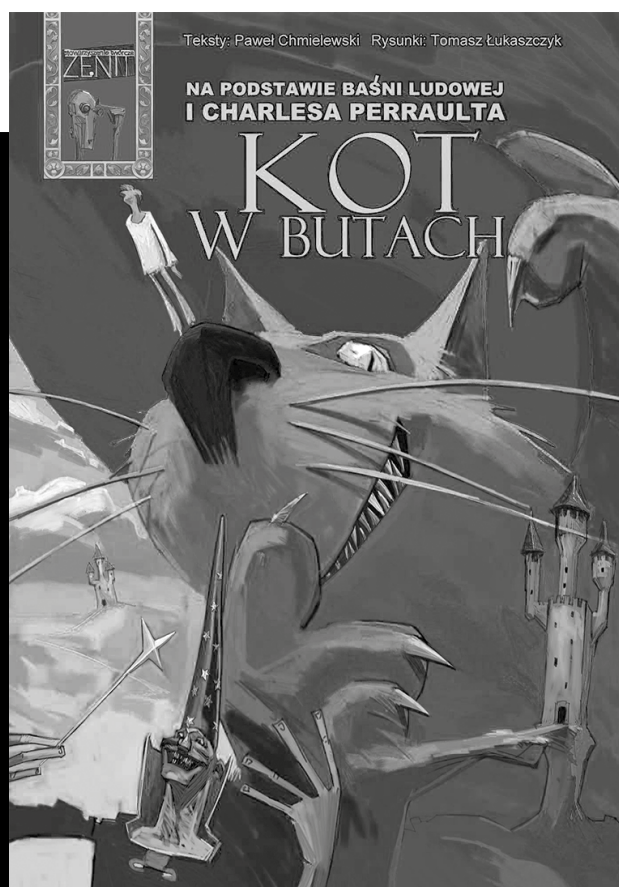
ANTOLOGIA OPOWIADAŃ KONKURSOWYCH





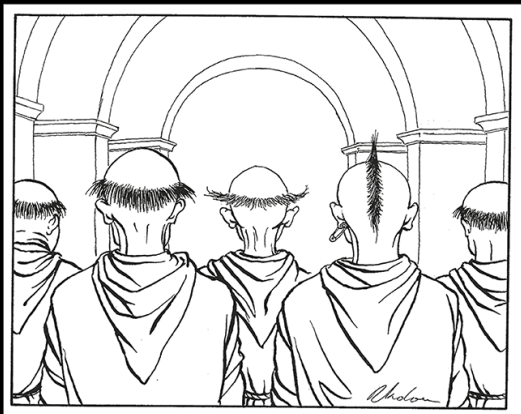
Nasze wydawnictwa

szukaj na www.projektorkielce.pl



PAWEŁ CHMIELEWSKI

Słowacki w McDonaldzie



www.projektorkielce.pl

FANTASTYCZNYCH 13

ANTOLOGIA OPOWIADAŃ KONKURSOWYCH

**Stowarzyszenie Twórcze „Zenit”
Kielce 2018**

Redakcja i układ wydawnictwa: **Paweł Chmielewski**

Wybór tekstów: **Paweł Chmielewski, Agnieszka Majcher, Emmanuella Robak**

Okładka i ilustracje: **Jerzy Ozga**

Skład: **Krystian Mucha**

Copyright by **Paweł Chmielewski**

Copyright by illustrations **Jerzy Ozga**

Copyright by text **Agnieszka Majcher**

Copyright by text **Emmanuella Robak**

Copyright by text of novell: **Mateusz Antczak** („Rado”),

Krzysztof Kochański („Zapomniany”), **Marek Kolender** („Sabat”),

Dominik Letner („Klub nocny Hellhole”), **Adam Józef Michalczyk** („Misja”),

Anna Możdżeń („Warkocze”), **Iga Ostrowicka** („Miejsce, gdzie zniknęły gwiazdy”),

Paweł Sołtysiak („Składnik”), **Erwin Stabrowski** („Wszczep niezawodny”),

Krzysztof Szkurłatowski („Łysiec-Saragossa”), **Marek Tuz** („Gombrowiczowska kupa”),

Karolina Werens („Noc krwawych bursztynów”), **Andrzej Zieliński** („Kiltz”)

Wydanie I

ISBN: 978-83-943720-9-5

Kielce 2018

Wydawca:

Stowarzyszenie Twórcze „**Zenit**”

ul. Zbożowa 4 lok. 11, 25-416 Kielce

www.zenit.org.pl

„**Projektor**” – kielecki magazyn kulturalny

www.projektorkielce.pl

Druk:

„**Jawist**” Kielce, ul. Warszawska 209

Wszelkie prawa zastrzeżone

Kopiowanie i rozpowszechnianie dzieła lub jego części bez zgody wydawcy zabronione

Spis treści

WSTĘP

- 4 •** Paweł Chmielewski „Widziałem śmierć galaktyk
i wiemę wśród bagiennych ogni”

TEKSTY

- 7 •** Mateusz Antczak „Rodo”
15 • Krzysztof Kochański „Zapomniany”
23 • Marek Kolender „Sabat”
29 • Dominik Letner „Klub nocny Hellhole”
39 • Adam Józef Michalczyk „Misja”
43 • Anna Możdżeń „Warkocze”
51 • Iga Ostrowicka „Miejsce, gdzie zniknęły gwiazdy”
57 • Paweł Sołtysiak „Składnik”
67 • Erwin Stabrowski „Wszczep niezawodny”
71 • Krzysztof Szkułatowski „Łysiec-Saragossa”
79 • Marek Tuz „Gombrowiczowska kupa”
87 • Karolina Werens „Noc krwawych bursztynów”
97 • Andrzej Zieliński „Kiltz”

POSŁOWIE

- 103 •** Agnieszka Majcher „Destylując niepokoje”
106 • Emmanuella Robak „Rusałka leci w kosmos”

108 • BIOGRAMY

113 • PROTOKÓŁ OBRAD JURY

—[4]—

Wstęp

Paweł Chmielewski

Widziałem śmierć galaktyk i wiedźmę wśród bagiennych ogni

Gdy w finałowym monologu replikanta Roya Betty model Nexus-6 padają słowa o niezmierzonej przestrzeni kosmosu i mrocznej naturze galaktycznych katastrof, przebija z nich odwieczna tęsknota małej istoty, człowieka – przywiązanej niewidzialnym łańcuchem – do trzeciej planety Układu Słonecznego. Sny o podróżach, niepojętych istotach, marzenie o spotkaniu flotylli na skraju Mgławicy Andromedy, a wszystko za cenę unicestwienia, tuż przed ucieczką w bezkresną, czarną pustkę. W tym krótkim rozbłysku, poprzedzającym śmierć, android stał się bardziej ludzki, niż jego konstruktor, niż niedoszły zabójca i cały rodzaj homo sapiens z pogrążonej w nieustannym deszczu metropolii przyszłości, przemierzanej przez łowców robotów. Jego los, a nie filozoficzny dyskurs z tożsamością Ricka Deckarda – oto natura tej historii.

Przypadek replikantów odnajdujących resztki humanizmu wśród elektrycznych przewodów, również późniejszej sagi Jamesa Camerona z T-800 w roli głównej, to parafraza pragnień i słów – dotyczących bohatera najstarszego, zachowanego w piśmie dzieła naszego gatunku – babilońskiego Gilgamesza, które stanowią – obok cudowności i magii homeryckich eposów – ośnowę literacką dla Platona, Campanelli, Swifta i Mary Shelley, fantastykę w formie najczystszej.

Czy science fiction, ten naukowy nurt mistrzów Asimova, Verne'a, Lema, Dicka i braci Strugackich, narodził się wraz z egipskimi opowieściami

kapłanów, czy dopiero w II w. w epizodzie napowietrznej podróży na Księżyc Lukiana z Samosat? A fantasy – nie wymyślili go przecież Tolkien i Robert E. Howard. Bilbo i Conan, to echo odległe pierwotnych mitologii. Wiedźmy stąpające po bagnach, czarodziejka znad jeziora, rycerz zielony,trolle i lodowe olbrzymy, schodzą do nas z arturiańskich pergaminów, epickiego poematu o Beowulfie, nordyckich podań o Nibelungach i skandynawskich mitów o Asgardzie. Z kart poetyckiej eddy, pieśni Chrétiena de Troyes, kronik Geoffreya z Monmouth.

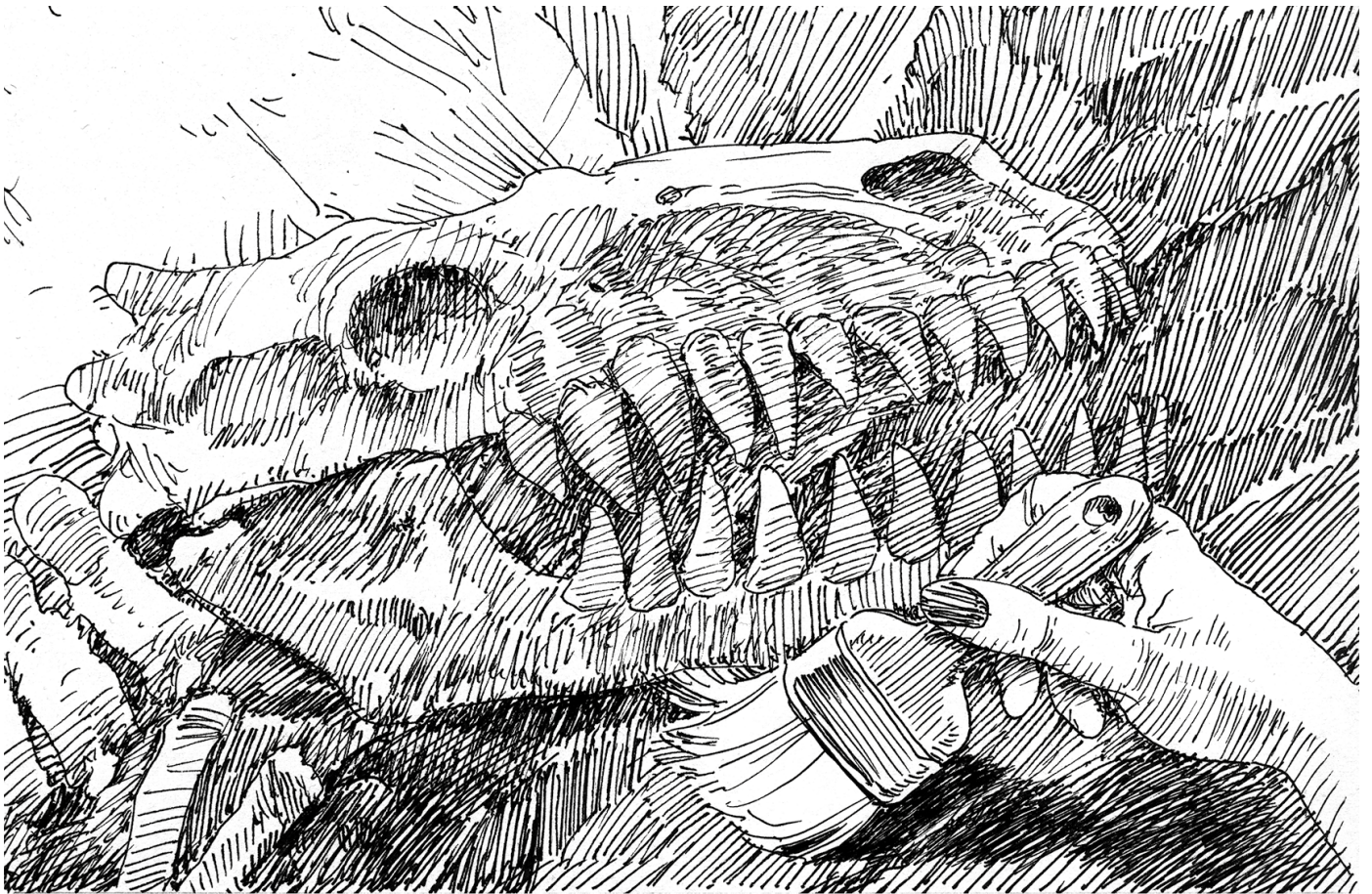
Te dwa potężne filary literackiej magii – fantastyka naukowa i fantasy – patrzą, jak tuż obok, kiełkuje nurt nowy. Nie wiem jak go nazwiemy – fantasy pop, synthTVfiction – ale wyrastający z komiksowego uniwersum, ekranizacji mitów o herosach wielkich metropolii, o ofiarach szaleńczych eksperymentów i demonicznych złoczyńcach. Zrodzony w serialowym ekosystemie, gdzie sumeryjska Inana przechadza się ze słowiańskim Czarnobogiem, a Armagedon zagraża ludzkości na równi z Ragnarokiem i milenijną pluskwą, zaś przyszłość świata, zapisaną w tajemnych manuskryptach, rozwikłać mogą jedynie członkowie tajemnego sprzysiężenia.

Ta hybryda gatunków, tropów, figur i symboli pozwala nam wejść do Świata Dysku, budki Doktora Who, tajemnej jaskini Dark, umysłu Franka Blacka z „Millenium”, pokrętnej, mroźnej samotni kryształowej celi Merlina, a nawet – przy odrobinie wysiłku – pałacu umysłu pewnego brytyjskiego detektywa. Wskazuje nam również drogę przez trzynaście opowiadań wybranych do tej antologii.

Nie trzeba koniecznie wskazywać, gdzie odcyfrowaliśmy autorskie ścieżki do „Przekładańca” Lema, dystopii w zamiatinowskim stylu, do motywów wędrownych, jak miejsca sekretne, opanowane przez istoty piekielne, tajemne sabaty, tropy cyklu o Geralcie z Rivii i Jakubie Wędrawyczu, czy opowieści galaktycznych wielbicieli trunków mocniejszych, spotykających nieodżałowanego Louisa de Funèsa w ostatniej ze swych ról. Nawet powroty nazistowskich szubrawców, którym uciekał już Hellboy i stary Chińczyk jak ze sklepu z „magicznymi potwornościami” – wszyscy istnieją w ramach konwencji, która zasysa całą współczesną popkulturę, a w walce z bogami mass mediów, nawet drużyna Cienia Neila Gaimana jest stracona. Bo wszystko zmienia się i przepoczwarza, wciąż odtwarzając i mając dawne opowieści. Na trzeciej drodze literatury magicznej, przyszłości i równoległych światów, to nie ma – naprawdę – żadnego znaczenia.

Mateusz Antczak

RODO



„RODO”

J. OZGA '18

Nowe stanowisko odkryli gdzieś między Ostrowcem i Starachowicami. Miejsce było – jak na ten region – nietypowe pod kątem geologii. Zamiast twardych, białych skał wapiennych okresu jurajskiego, pozostałości po morzu, którego płytkie wybrzeża odwiedzały kiedyś dinozaury, lub czerwonych, malowniczo warstwowanych piaskowców eolicznych, odstaniały się tu osady rzeczne i jeziorne – żółte piaskowce i szare mułowce. Skały te, podobnie jak pobliskie osady z Tumlina, pochodziły z triasu, pierwszego okresu ery dinozaurów.

Zespołem studentów z Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach zarządzali doktor Malinowska i doktor Żurczyk, adiunkci w Instytucie Biologii. Kiedy sami nie kopali, przechadzali się po odkrywce, strofując kursantów:

- Ostrożnie z tą żuchwą!
- Przygotujcie opatrunek na ten wielki *femur*.
- Andrzej, dlaczego nie masz kleju pod ręką?

Praca była ciężka, ale humory dopisywały. Jeden z kopiących znalazł właśnie niemal kompletne szczątki niewielkiej ryby, razem z okrywą romboidalnych łusek.

– Nazwiemy ją „Matjas” – oznajmił, choć pierwsze śledziowate pojawiły się prawdopodobnie kilkadziesiąt milionów lat później niż ryby, z którymi mieli do czynienia w badanych osadach.

Prócz ryb znajdowali tu znacznych rozmiarów kości i zęby gadów oraz osteodermy podobne do płytek, które okrywają grzbiety krokodyli.

W trakcie zajadłego machania kilofami, łopatami i młotkami geologicznymi oraz mozolnego wywożenia urobku przy użyciu sfatygowanych taczek, narzekali tylko na panującą aurę.

Nie istnieje bowiem odpowiednia pogoda na wykopaliska. Po deszczu było za mokro. Systematycznie udeptywany mułowiec upłynniał się jak mocno wstrząśnięty keczup. Niełatwo pracować z kostkami pograżonymi w szaro-zielonym, prehistorycznym błocie. W bezchmurny, upalny dzień, było za sucho. Osad wysychał na wiór, a jego wierzchnia warstwa, nieutrzymywana już przez napięcie powierzchniowe wody, rozpadała się na pojedyncze ziarenka, które boleśnie wdzierały się pod powieki.

Ostatniego dnia sezonu wykopaliskowego było zbyt umiarkowanie. Kiedy słońce chowało się za chmurami, chłodny wiatr wyziębiał spocone ciała, a gdy wyglądało zza jednego z puszystych obłoków, starało się usmażyć pracujących paleontologów. Złośliwa, oddalona o 150 milionów kilometrów kula gorzącej plazmy.

A jednak coś ich tutaj przyciągało, wiedzieli, że jeśli tylko będzie taka możliwość, będą wracać tu każdego roku, jak migrujące ptaki prowadzone przez linie pola magnetycznego Ziemi.

– Panie doktorze! – Jeden ze studentów poprosił Żurczyka o konsultacje. – Mam tu chyba kość ciemieniową z wydatnymi guzkami, ale...

– Połamaleś ją – odpowiedział kierownik wykopalisk.

– To nie moja wina, dłuto pękło mi w rękach. Z innymi narzędziami też jest problem – żak wskazał na rozłożone wokół przybory.

Rzeczywiście – młotki pordzewiały, drewniane trzony dłut rozsypywały się dłoniach, klej cyjano-akrylowy zastygł w butli, przypominając przejrzystą, kopalną żywicę, a roztwór kwasu solnego nie reagował w kontakcie z wapienną konkrecją.

Adiunkt przysięgłby, że jeszcze wczoraj sprzęt był w całkiem niezłym stanie, a niedawno pobrane z laboratorium odczynniki świeże.

– W porządku, weź z pick-upa nowy zestaw i dokończ robotę, tylko ostrożnie.

Kilka godzin później Malinowska zarządziła fajrant.

– Pakujcie ostatnie znaleziska w kukły gipsowe i zabezpieczcie teren na przyszły sezon.

Kiedy ładowali skamieniałości na pakę terenowego Nissana, usłyszeli szelest w krzakach. Wszyscy odwrócili się w tamtą stronę, a Żurczykowi wydawało się, że między liśćmi olchy śmignął gruby, gadzi ogon.

Mężczyzna miał nadzieję, że w zebranych materiale znajdują się kości nieznanych dotąd gatunków dinozaurów. Nikt inny nie zareagował, uznał więc, że podświadomość płata mu figle.

Kilka miesięcy później Żurczyk i Malinowska znajdowali się na zapleczu kieleckiego Centrum Geoedukacji, jednego z obiektów działających w ramach Geoparku Kielce. Placówka muzealna prezentowała głównie eksponaty z dewonu – skał tego wieku było w okolicy najwięcej, z tego okresu pochodziły też najstynniejsze miejscowe znaleziska, w tym najstarsze na świecie tropy czworonogów z Zachełmia i szczątki dunkleosteusa, olbrzymiej ryby pancernej ze wsi Płucki. Niewielu zwiedzających wiedziało, że poza częścią wystawową znajdowały się tu także laboratoria. Poszukiwacze dinozaurów z Kielc całą zimę spędzili w preparatorni paleontologicznej.

W pomieszczeniu unosił się zapach kurzu. W rzeczywistości zamiast odchodów roztoczy wdychali drobinki skał. Założyli maski przeciwpyłowe i przystąpili do pracy.

Jasnobrązowe skamieniałości tkwiły w gruboziarnistym piaskowcu. Kości kończyn, kręgi i wydatna żuchwa wyraźnie odcinały się na tle żółtej skały. Przez ostatnie miesiące odsłanili już większość szczątków. Szkielet gada był zaskakująco kompletny. Wyprostowane, kolumnowe łapy i pneumatyczna budowa niektórych elementów pozwalały na wstępną klasyfikację: dinozaur. Było to najbardziej okazałe znalezisko, odkryte na nowym stanowisku.

Uruchomili mechaniczne igły preparacyjne i zajęli się ostatnim, jak im się wydawało, nieodsłoniętym fragmentem. Ziarnko po ziarnku zeszkrobywali osad z okolic karku zwierzęcia, czy raczej tego, co z niego zostało po dziesiątkach milionów lat. Zakładali, że wypreparowanie wydatnych wyrostków kręgowych, podobnych do tych, jakie posiadał długoszyi Amargasaurus, zajmie im najwyżej godzinę. Ale w pobliżu barku znaleźli, nieco przesunięte w stosunku do pierwotnego położenia, dodatkowe długie kości.

Adiunkci spojrzeli na siebie. Tego się nie spodziewali.

– Co to? – spytała.

Nie odpowiedział. Uznał, że to pytanie retoryczne. Odpowiedź mogli poznać dopiero po wypreparowaniu całości nowego elementu.

Pracowali do rana, odsłaniając wydłużone, stosunkowo cienkie kości, które posiadały jednak wydatne grzebienie do przyczepu mocnych mięśni.

– Czy to są...? – zabrakło jej słów.

– Tak. Skrzydła – tym razem odpowiedział.

Duże skrzydła i cztery łapy. Sześć kończyn. Masywne szczęki wypełnione zębami o kształcie harcerskiego noża.

– Nie wierzę. To jest...

– Smok.

Zabezpieczyli znalezisko, aby po weekendzie zająć się dokumentacją fotograficzną i wstępnym opisem.

W sobotę wieczorem spotkali się przy piwie, żeby uczcić odkrycie. Wybrali pub przy Sienkiewicza, jeden z tych, które oferowały produkty miejscowych browarów. Malinowska długimi łykami pociągała Chęcińskie Zamkowe. Żurczyk wybrał Kieleckiego Lagera. Od zawsze najbardziej smakowały mu piwa w zielonych butelkach. Słyszał kiedyś, że produkuje się je z innego rodzaju piasku, niż szkło brązowe. Może miało to wpływ na smak trunku?

– Myślisz, że ten stwór mógł naprawdę latać? – zastanawiała się.

– Pneumatyczne kości wskazują na taką możliwość. Ale moim zdaniem mogły też służyć do utrzymywania się na powierzchni wody. Wąski pysk

i budowa łap przypomina trochę spinozaura. Może więc polował w wodzie? Nie, nie może. Na pewno. Przypomniałem sobie o położeniu nozdrzy.

– Co z nimi? – Malinowska nie pamiętała tego szczegółu budowy gada. Pociągnęła kolejny solidny łyk bursztynowego płynu.

– Zamiast na przedzie pyska jak u większości gadów, znajdują się z tyłu, przed oczodołami, jak u fitozaurów.

Miał na myśli wymarłe jaszczury łudzaco podobne do dzisiejszych gawiali.

– Czyli nie musiał wynurzać całego łba, żeby obserwować okolicę?

Żurczyk potwierdził skinieniem głowy i osuszył kufel. Poszedł zamówić drugą kolejkę. Tym razem wybrali smakowe wersje Kieleckiego – miód i malina oraz miód i cytryna. Na etykietach znajdowały się żartobliwe wierszyki. Malinowska uniosła kąciki ust, wczytując się w browarniczą poezję.

– Zastanawia mnie jeszcze jedno – stwierdziła skosztowawszy chmielowo-owocowego napoju. – Prawdopodobnie mamy do czynienia z samcem, zwróciłeś uwagę na wydatne guzki na potylicy? Ciekawe czy samice były jeszcze większe, nasz okaz już ma imponujące rozmiary.

– Histologia wykaże czy to dorosły osobnik.

Stuknęli się kuflami i przeszli na tematy osobiste.

– Co słychać u Marceliny?

W poniedziałek rano wparowali do laboratorium, jakby ścigał ich wygłodniały tyranozaur.

– Jak to możliwe?!

Wszystkie okazy, które ich zdaniem należały do mitycznych gadów, wyparowały. Zniknął nawet największy, najbardziej kompletny szkielet, ważący wraz z okładem skał i gipsowym opatrunkiem prawie dwieście kilogramów. Z odstonięcia do pick-upa zносиło go osiem osób. Do laboratorium wwieziono go na specjalnym wózku. Nie mógł tak po prostu zniknąć.

– I nikt nic nie widział? Kamery niczego nie zarejestrowały?! – Malinowska wydarła się na zdezorientowanego portiera, który dopiero teraz ich dogonił.

– Tak. Nie wiem dlaczego. Naprawdę. Przykro mi.

– Przykro? – Już miała rozpocząć tyradę, ale Żurczyk złapał ją za ramię.

– Jedźmy na odstonięcie. Mam złe przeczucia.

Z terenu Geoparku wyjechali w kierunku zachodnim, by za miastem wbić się na Drogę Krajową numer 74, w kierunku Opatowa. Przed Skorzeszycami odbili na północ, w stronę Ostrowca Świętokrzyskiego. Po drodze postanowili nie zauważyć pół tuzina znaków drogowych informujących o dozwolonej

prędkości. Ktokolwiek był w stanie wywieźć ich okazy z Centrum Geoedukacji, musiał wiedzieć zbyt dużo. Jeśli dotarł też na odsłonięcie, mogli pożegnać się nie tylko z już wydobytymi okazami, ale także tymi, które nadal tkwiły w osadzie, czekając na odkrycie.

Dojechali w pobliże nieczynnego kamieniołomu, wyskoczyli z Nissana i pobiegli stromizną w kierunku skalnego odsłonięcia. Wiosna dopiero nieśmiało wkraczała do województwa świętokrzyskiego, więc roślinność powoli przejmująca te tereny jeszcze nie zagradzała drogi tak, jak w trakcie sezonu ekskawacyjnego.

– O nie!

Od razu zwrócili uwagę na spory obryw skalny, który zasypał zabezpieczone przez nich wcześniej miejsce.

– Dostanie się do warstw kościonośnych, będzie wymagało użycia koparki. Nigdy nie dostaniemy na to zgody! – lamentował Żurczyk.

Usłyszeli trzask łamanych gałęzi. Ktoś się zbliżał.

– Radzimy nawet nie występować z takim wnioskiem – oznajmił przybysz. Był sam, ale z jakiegoś powodu użył liczby mnogiej.

Naukowcy nie wierzyli własnym oczom.

– Uszczypnij mnie – rzuciła Malinowska.

Żurczyk nie zareagował.

– Mniemam, że pani zwracała się do pana. Ja, choć potrafię być delikatny, wolałbym tego nie robić. Mimo wszystko moje uszczypnięcie mogłoby się okazać dla pani bolesne – stwierdził nieznajomy.

Na potwierdzenie swych słów uniósł okrytą zielonymi łuskami łapę, zakończoną haczykowatymi pazurami. Popatrzył na paleontologów, obracając łbem przystrojonym w kolorowe guzki. Okazałe wyrostki kręgów szyjnych kołysały się przy każdym ruchu.

– Zupełnie jak...

Smok postąpił krok w stronę paleontologów. Musiał przy tym manewrować błoniastymi skrzydłami, by nie zahaczyć o bezlistne gałęzie drzew.

– Taaak – westchnął. Wypuścił powietrze nozdrzami umieszczonymi wysoko na czaszce, tuż przed hipnotyzującymi, żółtymi ślepiami. – Znaleźli państwo miejsce spoczynku mojego pra-pra-pra-i tak dalej-dziadka. Nasza rasa jest długowieczna, ale i tak musiałbym ponad dwa tysiące razy powtórzyć słowo „pra”. Mówimy w końcu o milionach lat.

Naukowcy musieli przyznać, że przodek ich rozmówcy był stosunkowo niewielkich rozmiarów. Smok, którego mieli przed sobą, mierzył ponad cztery

metry w kłębie, a długością przebijał najbardziej okazałe kieleckie autobusy. Był przynajmniej dwa razy większy niż gad, którego szkielet wydobyli minionego lata.

– Czy to ty, to znaczy wy, ekhm. To wy sabotowaliście nasze badania? – wyjąkał Żurczyk.

– Hmmm. Tak postawione pytanie sugeruje, że dokonaliśmy jakiegoś barbarzyństwa. Mamy odmienny pogląd na to zagadnienie. Zresztą nie musimy niczego, jak państwo to ujęli, sabotować. Jesteśmy magicznymi stworzeniami, natura nam sprzyja. Wracając jednak do meritum, czy pytali państwo o zgodę na wspomniane analizy? Cóż, nie życzymy sobie, aby ujawniano naszą tożsamość. Jesteśmy tu znacznie dłużej od państwa, a także państwa ewolucyjnych poprzedników i do tej pory udawało nam się nie wychylać. Może z drobnymi wyjątkami. Chińskie smoki mają ogromne parcie na szkło. A Wawelski miał parcie na... – Gad zamyślił się na chwilę. Szukał właściwego określenia, lecz po chwili zorientował się, że odbiega od tematu. – To nieistotne. Prosilibyśmy, aby znaleźli państwo inny przedmiot badań.

Malinowska otworzyła usta, by zaprotestować, ale zabrakło jej słów.

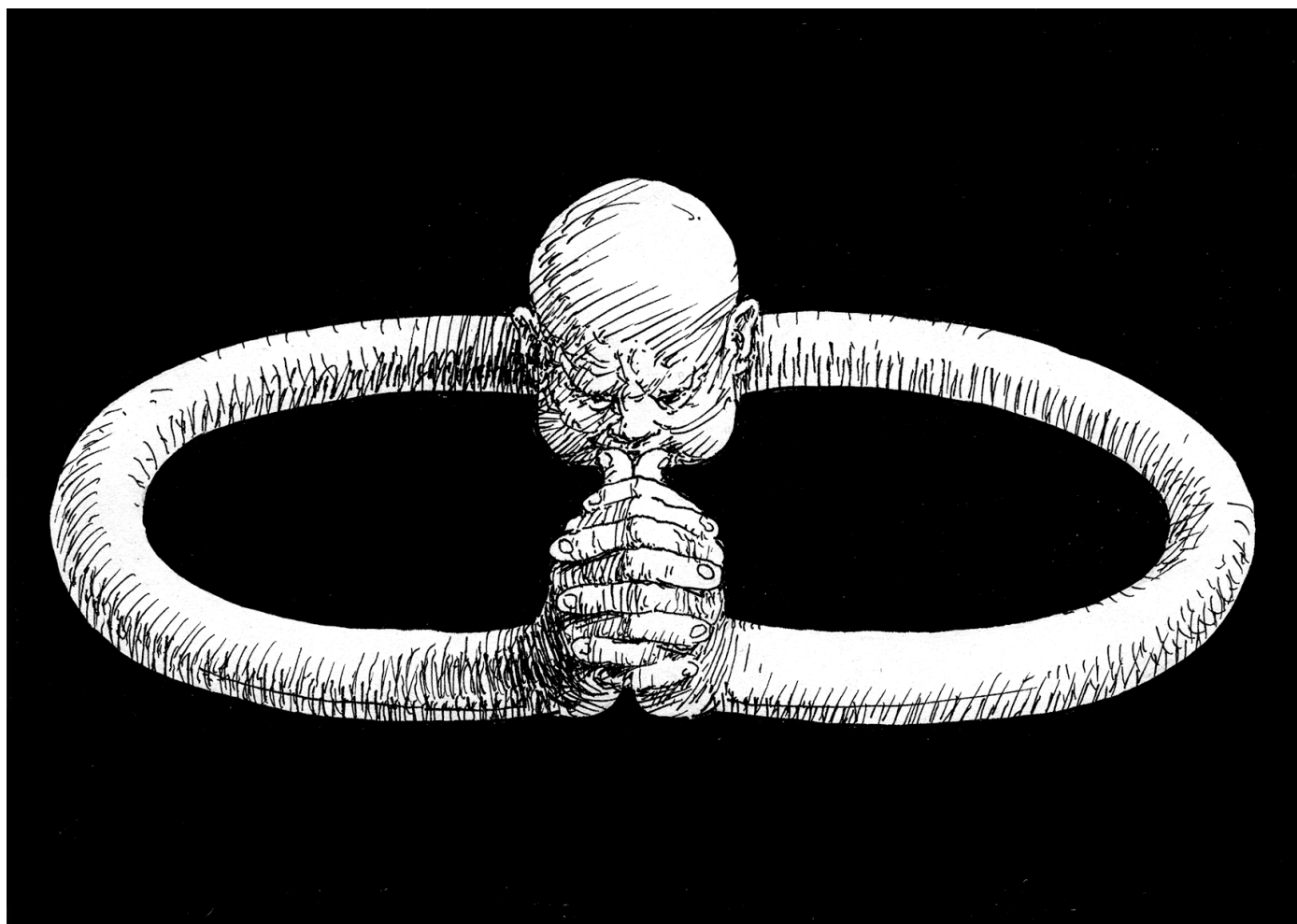
– Czyli zgadzają się państwo? Doskonale, w myśl nowych przepisów nie mogą państwo ujawniać naszych danych osobowych bez naszej zgody. Do informacji objętych prawną ochroną zaliczamy również przynależność gatunkową.

– Jakich przepisów? – spytali zdezorientowani adiunkci.

– W jakim świecie państwo żyją? Mówię o RODO – wyjaśnił Smok i uznał, że skończyli rozmowę. Kilkoma ruchami błoniastych skrzydeł wzbił się w powietrze, by po chwili zniknąć między nisko zawieszonymi chmurami.

Krzysztof Kocharński

Zapomniani



„ZAPOMNIANY”

J.02GA'18

1. Matka Jonatana

Dawno temu, w dniu dwudziestu czwartych urodzin Marty, zadzwonił do niej Piotr.

— Wszystkiego najlepszego.

Marta dziesiątki razy wymyślała sobie tę rozmowę. Wydawałoby się, że była na nią przygotowana lepiej, niż do jakiegokolwiek egzaminu na kieleckim Uniwersytecie Jana Kochanowskiego, z którym przygodę – obawiała się – przyjdzie jej przerwać, przynajmniej na jakiś czas. W zanadrzu miała riposty cięte i dowcipne, a także wulgarne. Wariantów było wiele – nie wiadomo, który trafniejszy.

Ale teraz, kiedy przyszło co do czego, powiedziała tylko:

— Co słyszać?

Piotr opowiedział jej co słyszać. Plótł trzy po trzy, słówkiem nie nawiązując do imprezy sprzed kilku miesięcy, kiedy to Marta przyłapała go w łazience z koleżanką z roku. W tej łazience bynajmniej nie grali w warcaby. Na koniec rozmowy – czy raczej męskiego pożał się Boże monologu – Piotr zapytał, czy mogą się spotkać.

Nie, nie, nie. Do tego sprowadzała się w gruncie rzeczy każda z planowanych w ponure bezsenne noce odpowiedzi Marty. Jednak teraz wszelkie scenopisy diabli wzięli i Marta użyła partykuły przeciwnej.

— Tak.

Prawda, że życie jest pełne niespodzianek? Skoro człowiek potrafi zaskoczyć nawet samego siebie!

W owym czasie Marta mieszkała z matką, która, jak to nierzadko bywa z matkami dorosłych córek, słyszała wszystko. A przynajmniej tę część telefonicznego dyskursu, która w rozpisanym przez zaskoczenie dialogu należała do jej córki.

— Dlaczego mu nie powiedziałaś, że jesteś w ciąży? – spytała, gdy Marta odłożyła słuchawkę.

— W ciąży? – Marta marszczyła brwi. – W ciąży?

— Cokolwiek knujesz, ósmego miesiąca przed nim nie ukryjesz.

— Ja mam knuć? Mamo, co ty?

— Ale, że spodziewasz się jego syna, nie powiedziałaś!

Marta zaplotła ręce na brzuchu. Pod dłońmi wyczuła ruch.

— Coś takiego! Całkiem o tym zapomniałam...

2. Dziewczyna Jonatana

Dawno temu, wczesnym rankiem, dwadzieścia cztery lata i dwadzieścia dni po telefonie Piotra do Marty, Zofia włączyła tablet, żeby upewnić się, czy jest na pewno sobota. Dopiero by było, gdyby pomyliła dni i (na przykład) nie stawiała się na ćwiczenia z biologii, z której oblała już dwa kolokwia. A przecież nie była głupia. Kto by pomyślał, że biologia na prowincjonalnym jakby nie było Uniwersytecie Jana Kochanowskiego, ma taki wysoki poziom? Ale niczego nie pomyliła. Miała przed sobą cały weekend. I właściwie żadnych planów.

Zjadła śniadanie i wyjrzała przez okno. Padało. W takich dniach żałowała, że ma dobrze usytuowanych rodziców, którzy nie pozwolili jej na mieszkanie w akademiku. W akademiku życie jest inne. Tam ludzie nie nudzą się nigdy.

Przesiedziała przy komputerze do południa, trochę czytała. Dręczona słabymi wyrzutami sumienia przejrzała notatki z wykładów, a potem – hurra! – zadzwoniła komórka.

– Zdrastujcie! – Magda studiowała filologię rosyjską, ostatnio wracającą do łask. – Jest impreza. Przyjdziecie?

– My? Jasne, że tak. Przyjdziemy. Ja i mój cień – powiedziała znudzona samotna Zofia. – Jak jest cień po rosyjsku?

– Tień.

– Ślicznie.

Kiedy stawiała się w akademiku, impreza trwała w najlepsze.

– A gdzie twój tień? – zainteresowała się wesół Magda.

Zofia obejrzała się. Ostentacyjnie omiotła wzrokiem nie pierwszej czystości podłogę.

– Widać wcięło.

– Nie. Pytam poważnie. Jonatan nie przyjdzie?

Zofia w milczeniu wpatrywała się w oczy koleżanki. Uśmiech schodził z jej twarzy bardzo powoli. Ktoś z wnętrza pokoju krzyknął, żeby włązili w tę albo w tamtą stronę, bo w przeciagu piwo wietrzeje.

– Pokłóciliście się? – spytała Magda.

Zofia pokręciła głową.

– Chyba... nie... – W półmroku otwartych drzwi jej słowa rozchodziły się ospale, zdając się wsiąkać w wydostający się z pokoju papierosowy dym. – Dzisiaj Jonatan ma urodziny... Całkiem o tym zapomniałam...

Cóż innego mogła powiedzieć?

Przyznać się, że zapomniała, że ktoś taki jak Jonatan w ogóle istnieje?

3. Babcia Jonatana

Jedyną osobą, która nigdy o Jonatanie nie zapomniała, była jego babcia, matka Marty, osoba dość znana w Kielcach, gdyż w młodości brała udział w jednym z nieudanych zamachów na osławionego Hansa Wittka (w tym udanym, niestety, nie przyszło jej uczestniczyć).

To dzięki babci Jonatan prawie zawsze odbierany był z przedszkola na czas. Dzięki niej, kiedy podrósł, tylko trochę częściej niż inni spóźniał się do szkoły. Jeździł nawet na klasowe wycieczki, choć to skończyło się w trzeciej klasie, kiedy po powrocie autobus wypuścił z siebie rozwrzeszczaną gromadę, wśród której Jonatana zabrakło.

Babcia miała silne nerwy, czego dowodem może być fakt, że zaczęła wrzeszczeć dopiero wtedy, kiedy skonsternowana wychowawczyni spytała:

– Kto to jest Jonatan?

W tym samym czasie nasz bohater wrzeszczał w zupełnie innym mieście, dzięki czemu policja wpadła na jego ślad, zanim jeszcze wpłynęło zgłoszenie zaginięcia dziecka. Taki lokalny sukces. Na kolejne wycieczki chłopiec nie jeździł, dopóki znalazł się w gimnazjum.

Jonatan był wesołym dzieckiem i nie za bardzo przejmował się swym niezwykłym talentem, czy raczej właściwością, która ekstremalne formy na szczęście przybierała rzadko. Przyznawał, że delikatniejsze przejawy przynosiły mu nawet pewne korzyści: w szkole nauczyciele notorycznie zapominali go odpytywać, sprawdzać jego prace klasowe; nierzadko na koniec semestru miał z danego przedmiotu jedną tylko ocenę, albo i wcale, a zdumieni tym faktem pedagodzy pośpiesznie nadrabiali zaległości, z reguły zawyżając notę, w poczuciu wstydu lub po prostu w obawie przed posądzeniem o niekompetencje.

4. Rodzice Jonatana

Magda i Piotr niestety nie zarazili się odmiennym stanem świadomości babci. Chociaż nie można im zarzucić braku starań. Z biegiem lat opracowali pokaźny zestaw sztuczek, pomagających odświeżać wybiórczą pamięć. Marta jeździła samochodem, na którym wielkim literami wymalowano imię jej syna. Piotr podobny napis umieścił na desce rozdzielczej, gdzie płonął zielonym neonem za każdym ruchem kluczyka w stacyjce. W portfelach

i wszelkich dokumentach mieli odpowiednie karteczki, a dzięki pomysłowi ojca o wykorzystaniu internetu do automatycznego wysyłania SMS-ów, kontrolowali samych siebie z godnym podziwu zaparciem.

5. Jonatan

Jonatan studiował fizykę. Pozostał na uczelni, szybko zrobił doktorat („Kwantowa interferencja pól wychodzących z dwóch rezonatorów a teleportacja stanów atomowych”), potem habilitację („Pola wektorowe w pętlowej kosmologii kwantowej”).

Fizyka. Nauka ścisła. Lepiej wybrać nie mógł, a to z uwagi na okoliczność, iż w świecie nauki zapominanie nie jest niczym szczególnym. Jeśli profesor A na poważnie zajmuje się zagadnieniem Alfa, a profesor B zagadnieniem Beta, nie ma nic dziwnego w tym, że A zapomina o istnieniu B, i odwrotnie. Że obaj pogrążeni w pracy panowie zapominają o całym bożym świecie, w tym o małżonkach, dzieciach, psach i kotach, nikogo specjalnie nie dziwi.

W takiej niszy życie Jonatana toczyło się cicho i szczęśliwie.

6. Babcia Jonatana

Babcia umarła, kiedy Jonatan miał czterdzieści dziewięć lat. Do końca swoich dni trzymała się nieźle, w tych ostatnich najbardziej martwiła się o wnuka.

- Jak sobie beze mnie poradzisz, kochaniutki?
- Nie martw się, babciu – pocieszał ją Jonatan. – Przecież jest Zosia.
- Ach, Zosia! Czy na takiej żonie można polegać?

Zdaniem babci Zofia zapominała o Jonatanie częściej niż obcy ludzie. Osąd wynikał raczej z zawyżonych oczekiwań, aniżeli ze stanu faktycznego, jednak Jonatan nigdy pod tym względem babci nie oceniał. Czasem oceniała ją Zofia, co bywało powodem rzadkich domowych kłótni.

Kiedy tamtego ostatniego wiosennego popołudnia Jonatan siedział przy łóżku, mając świadomość nieuchronności końca czasu, babcia niespodziewanie chwyciła go za rękę.

- Nie bój się śmierci – powiedziała, patrząc na wnuka rozognionym nagle wzrokiem.

– Nie mów tak. Przecież jeszcze nie umierasz.

– Masz mnie za głupią? – fuknęła babcia. – Nie mówię o mnie, tylko o tobie. O twojej śmierci.

Jonatan nie wiedział, co odpowiedzieć. Koścista zimna dłoń tkwiła w jego dłoni i ani jedna nie chciała się ogrzać, ani druga ochłodzić, jakby już należały do innych światów.

– Moim zdaniem ona o tobie zapomni – przerwała milczenie babcia.

– Kto zapomni? Zosia?

– Co ty z tą Zosią? Słuchasz mnie czy nie?

– Ależ słucham, babciu.

– Każdy o tobie zapomina, dlaczego Śmierć miałaby być wyjątkiem?

7. Śmierć Jonatana

Babcia nie miała racji. Śmierć przyszła po Jonatana jak po każdego innego człowieka, a nawet znacznie przed terminem, bo biedak miał wówczas zaledwie pięćdziesiąt osiem lat. Pośrednią przyczyną był zawał serca, a bezpośrednią dziwne zdarzenie, które prasa opisała jako przejaw karygodnej beztroski i znieczulicy służby zdrowia. Znajomi doradzali Zofii, aby domagała się odszkodowania. Błąd ratowników medycznych był oczywisty, ale ona zrezygnowała z roszczeń. Rozumiała, co stało się naprawdę.

Była noc, mimo to wezwana przez Zofię karetka przyjechała chwilę po telefonie. Pośpiesznie zapakowano chorego do ambulansu, a Zofia pobiegła do garażu po swój samochód. Nie dogoniła już jadącej na sygnale sanitarki, ale kiedy przyjechała do szpitala, okazało się, że:

– Owszem, było takie zgłoszenie – sprawdził przyparty do muru dyspozytor. – Ale pojechali gdzie indziej.

– Jak to gdzie indziej? Z pacjentem?

Dyspozytor, sprawiający wrażenie nieco ogłupiałego, tylko skinął głową.

Kierowca karetki, która zabrała Jonatana, w drodze do szpitala przyjął inne zgłoszenie. Zawrócił – wciąż na sygnale – i pojechał do dzielnicy położonej poza granicami miasta. Zmęczony całodobowym dyżurem lekarz, który siedział z tyłu przy pacjencie, nie od razu zwrócił na ten szczegół uwagi. W sytuacji zorientował się, dopiero gdy zniknęły lampy miasta. Wówczas zaczął walić pięścią w przepierzenie.

Sanitariusz kierowca sam omal nie dostał zawału.

– Nie wiem, jak mogłem zapomnieć, że wieziemy już pacjenta! Naprawdę nie wiem. Nie wiem. Nie wiem...

W zasadzie nie ma co się dziwić, że nikt mu nie współczuł.

8. Dusza Jonatana

Po śmierci Jonatan trafił do Czyścica.

Czas miał tu naturę kwantową, w dodatku podlegał interferencji, co już w ogóle było zakręcone. Fakt ten doprowadzał Jonatana do ekstazy, wszak był fizykiem, niemal noblistą, gdyby w swoim czasie sekretarz Szwedzkiej Akademii Nauk nie zapomniał był wpisać pretendenta na listę.

Przestrzeń i czas pomiędzy niebem a piekłem – mogąc analizować taką osobliwość, nasz bohater czuł się, jakby znalazł się już piętro wyżej, czyli w Raju. Nie nudził się więc wcale. Aż kres dociekaniom położył długo oczekiwany Dzień Sądu Ostatecznego. Wówczas to rezydenci Czyścica, gromadzeni tu przez tysiąclecia, poczęli znikać paczkami falowymi (a jakże by inaczej). Każda paczka to równo milion istnień, wyliczył Jonatan. Po osądzonych pozostawały w Czyścicu puste przestrzenie, które zapadały się w sobie na podobieństwo czarnych dziur.

Domyślał się, że niektóre paczki wędrowały tam, gdzie trafić każdy miał nadzieję, inne w miejsce wręcz przeciwne. Tak jak zresztą obiecano. Jonatan w napięciu czekał na swoją kolej.

W końcu został sam.

Było to dziwne. Zastanawiające.

Przekonywał samego siebie, że przecież w każdym likwidowanym zbiorze niepustym jakiś element musi być ostatni. To logiczne. Po prostu padło na niego. Rozumując dalej: całkowita ilość elementów (liczba dusz w Czyścicu) podzielona przez milion (ilość dusz paczce), daje w wyniku nic innego jak ilość paczek. Lecz taki iloraz zapewne będzie miał resztę. Ta reszta to ilość dusz w ostatniej paczce. Jeśli reszta wynosi 1, ostatnia paczka osądzonych będzie jednoelementowa. Przypadkowo padło na niego, Jonatana. Proste. Pozostało tylko czekać, aż z ostatnią paczką stanie się to, co z poprzednimi.

Zatem czekał.

Samotny. Niepewny. Z nadzieją na nagrodę. W obawie przed karą.

I nic.

W końcu przyjął do wiadomości, co takiego się stało.

9. Postjonatan

Być może Jonatan bardziej by się przejął, że Bóg o nim zapomniał, gdyby w podobny sposób nie traktowano go za życia. Albo, gdyby przyrodnicze wykształcenie nie wyrobiło w nim nawyku naukowego oglądu świata. Nie sposób tego wyrokować, skoro po wiekach Czyścica z całą pewnością nie był już tamtym Jonatanem. W gruncie rzeczy przestał już być człowiekiem.

A potem... (długo po tym, gdy rosnąca entropia doprowadziła do ciepłej śmierci Wszechświata) ... minęła cała wieczność.

Tylko czas wciąż trwał, interferował nadal, a wraz z nim zanurzona w szalonych w kwantach Jonatanowa jaźń. Zapomniany przez Boga ewoluujący umysł stawiał coraz więcej pytań, a kiedy ich ilość coraz wyraźniej zdawała się zmierzać ku nieskończoności, postjonatanowy byt zdecydował, że oto nadszedł czas odpowiedzi. Ich udzielanie to jedyny sposób, by nie zapomnieć pytań, rzekł sobie. Tym samym podjął decyzję.

Na początku stworzył niebo i ziemię.

Marek Kolender

Sabat



„SABAT“

J.OZGA'18

– Za długo już, siostry, ucieka nam ten jelen! Za długo, powtarzam!

Racja, za dużo się powtarzasz. Siedziałyśmy tu już od cholernych trzech godzin, z czego dwie i pół przegadałaś! Jak tak dalej pójdzie, to nawet czarodziejskiej waty cukrowej nie spróbuję przez tę staruchę!

W końcu kilka minut później (po dalszym gadaniu o „tym jeleniu”, jakimś tam legendarnym stworzonku z krzyżykiem na łbie) i po wyjściu w międzyczasie kilku wiedźm (wyglądały, jakby się gdzieś spieszyły) powiedziała:

– Dziękuję za uwagę... – Miód na moje uszy! Tak. Tylko że potem dokończyła – Teraz zapraszam na mównicę naszą nową siostrę, Stanisława... ekhm... Stanisławę!

Trochę się zdziwiłam, gdy owa wiedźma okazała się niedogolonym facetem, ale zarost zdarza się też u nieco starszych, ode mnie koleżanek po fachu. Po prostu twarz i budowa jakaś taka nieżeńska.

Ale w sumie nie miałam żadnych uwag. Zjednoczona Konfederacja Kobiet-Które-Wiedzą z Zachodu zajechałaby nas, gdybyśmy go... Jej... No w każdym razie tego człowieka nie przyjęły.

Podziękowała krótko za przyjęcie i tradycyjnie odpaliła magiczne fajerwerki. Szkoda tylko, że męskim zaklęciem! Aż czuć w tym było testosteron.

Po chwili jednak w tle pojawiło się niemal oślepiające światło, w którym nie wyczułam żadnych hormonów, co aż mnie zdziwiło. Ona nie mogła tego zrobić!

W każdym razie skończyło się. Miałyśmy czas dla siebie.

Na Łysej Górze jest pełno atrakcji dla nas, nie nudzą się tutaj nawet wiedźmy o kilkusetletnim stażu. Mamy tutaj rodeo na kozle, watę na kozim rogu, można zrobić sobie z kozłem zdjęcie, jest coś à la karuzela z takimi fajnymi siedzeniami. Tym razem w kształcie barana, ale kameruńskiego, a te są do kozłów podobne!

A no tak... „Jak to Łysa Góra” – zapyta ktoś. „Przecież tam jest teraz klasztor!”

Tak, jest na starej Łysej Górze. Tylko że to nazwa ruchoma. To tam, gdzie my jesteśmy, jest Łysa Góra, nie na odwrót. Na tej starej jacyś księża wybudowali sobie siedzibę. Mówią, niby że nic by nam nie mogli zrobić, ale strzeżonego Pan Bóg... No w każdym razie lepiej nie ryzykować!

Gdy akurat stałam w kolejce do karmienia kozicy (zawsze tak śmiesznie liżą ręce tymi swoimi chropowatymi językami, co niemożliwie łaskocze), usłyszałam komunikat:

– Do prowadzącej wezwane zostają następujące wiedźmy: Juwencja

Kulawa, Baltarona Łysa, Grynilda Trzynaście Kurzajek, Stanisława Ponętna i Joanna...

Tylko nie „Młoda”, tylko nie „Młoda”!

— ... Młoda.

Westchnęłam tylko, rzuciłam swoją marchew, którą zwierzak złapał jeszcze w locie i poszłam do wielkiego namiotu pośród drzew.

* * *

— Za długo już, siostry, ucieka nam ten jeleń! — zaczęła wiedźma prowadząca, gdy byliśmy już w środku. — Za długo, powtarzam!

Kurwa! Nosz kurwa, po stokroć! Przyszliśmy tutaj posłuchać, jak się powtarza?!

— Za długo... jest jednak szansa, żeby w końcu go złapać! Ta oto dziewczynka — Wskazała na ledwo wyrosnięte dziecko, którego wcześniej nawet nie zauważyłam — dostrzegła go w lesie. Część naszych sióstr już przy przemówieniu odczuła obecność owego plugawego rogacza! A w pobliżu miejsca, gdzie powietrze niemalże pulsowało od jego energii... w okolicy znalazły ją. A ona zaprowadziła je do niego... Tylko że rogacz je pokonał, musiały uciekać! Ale teraz się przygotujemy...

— Chwilę... i to my mamy to zrobić? — spytałam. — Dlaczego?

Spojrzała na mnie zimnym wzrokiem spod ronda czarnego kapelusza.

— Tak, ale proszę nie przerywać. Taka jest nasza decyzja. Chyba że wolisz sprzątać klatki po muflonach?

Byłam już cicho. Muflony nie były zbyt sympatyczne...

— Tak myślałam. Dziewczynka was poprowadzi, a gdy go znajdziecie, wypijecie to.

Położyła na stoliku przed nią pięć małych flakoników. Już wiedziałam, co się święci, ale pamiętałam o groźbie tych śródziemnomorskich ssaków, więc wolałam siedzieć cicho.

— Przywołacie Matochę!

* * *

Szłyśmy przez ten las, bo prowadząca zabroniła nam lecieć, więc niosłam swoją miotłę pod pachą. Co starsze uczestniczki wyprawy trzymały też łopaty, a nawet bijaki od maselnic, w pogardzie dla mioteł, które „sprzedały się popkulturze”.

Mijałyśmy drzewa, krzewy, ze dwóch borowych, wiewiórki, nocnice, nawet Hejdasz na wpół leżący pod starym dębem nam się ukłonił. Jak zwykle leniwy czart migał się od obowiązków i przeżuwał źdźbło trawy w gębie. Przyglądał

się z uwagą naszej kompanii i w jednej chwili nagle zerwał się i uciekł, jakby zobaczył ducha. To znaczy człowiek, tak by zrobił, on widywał duchy na okrągło. To musiało być coś gorszego.

Spojrzałam tam, gdzie wcześniej Hejdasz. Dziewczynka odwzajemniła spojrzenie tymi swoimi ciemnymi, pustymi oczyma. Po ciebie przeszedł mi dreszcz i szybko odwróciłam wzrok. Jakie cholerstwo musi siedzieć w tym dziecku, skoro nawet sam diabeł uciekł stąd w takim tempie, że nawet nie zdążył powiedzieć „dobranoc”?

* * *

– Jest już blisko – odezwało się dziecko, głosem bez szczególnego wyrazu, tak spokojnym, że aż chłodnym. Jej oczy były ciemniejsze niż otaczająca nas noc i nie było to wcale spowodowane księżycem w pełni, który względnie dobrze oświeślał las.

Szliśmy dalej. W pewnym momencie podeszła do mnie Stanisława.

– Byłaś już na czymś takim? – spytała stłumionym głosem. Jej chyba też udzielił się nastrój tej chwili.

– Zdarzały się różne akcje, ale tak to głównie skwaszenie mleka w Tesco, jak na razie.

Spojrzała na mnie wzrokiem pełnym nicości – emanującym wręcz niewiedzą i ogłupieniem.

– To... to wy tak na serio z tym księżciem mleka?

– Ciii... Trzeba uważać...

I oddaliłam się nieco, zostawiając go sam na sam z myślami. Niech się zastanawia, czy naprawdę wdepnął w aż tak wielkie gówno.

Nagle zrobiło się naprawdę jasno. Aż zamigotało mi w oczach.

– Tam jessst! – syknęła dziewczynka... Albo czymkolwiek to coś było. Zapewne nie miało nawet płci.

Ustawiliśmy się w koło i czekałyśmy.

W końcu zza drzew wychynął łeb jelenia z jaskrawo świecącym się krzyżem między porożem.

Wychyliłyśmy zawartość flakoników i w jednym momencie wykrzyknęłyśmy na cały głos (a może i głośniejsz – dźwięk ów dobywał się jakby z wnętrza duszy):

– Niech nadejdzie ciemność!

Ledwo skończyłyśmy, a z naszego okręgu wzbił się wielki stęp światła. Był czerwony jak krew, ale... Nie było to światło jak u jelenia. Gdyby ciemność mogła się świecić, wyglądałoby to zapewne właśnie tak.

Jakaś wiązka tego mrocznego światła oddzieliła się i poleciała wprost na dziecko. Te zaś uniosło się lekko nad ziemię i wstąpiło w krąg.

A tam już zaczął się koszmar na jawie.

Członki tego czegoś, co jeszcze przed chwilą było antropomorficzne, wykrzywiły się nienaturalnie, a głowa wykonała z dwa obroty wokół własnej osi. Wypadły mu włosy oraz całe płaty skóry, gęsto okraszone ciemną krwią i małymi urywkami mięsa, a czerń tych oczu rozniosła się na całe ciało. Po chwili monstrum opadło na ziemię, a światło zaczęło gasnąć... chociaż tutaj nie jest to chyba dobre określenie, bo zaraz zrobiło się jakoś jaśniej.

Na ziemi stał wielki, czarny tryk owcy kameruńskiej. I może nawet bym się zaśmiała, gdyby to nie było tak przerażające.

Przerażająca była też jego szarża, przerażające było potrącenie Staśki i w końcu przerażająca była walka tych dwóch sił, której jednak nie przyglądałam się zbyt długo. Podbiegłam za to do leżącego i zaczęłam ją leczyć w miarę możliwości. Nawet nie jęczał... Gdyby chociaż to robił, byłaby wielka nadzieja...

– Stanisław! – próbowałam wzywać go po imieniu. Imiona mają wielką moc, wiele jest w nich magii, jednak nie reagowała. – Stanisława! – również nic. Zaczęłam się obawiać, że ona sama ma problem z poznaniem siebie.

Ja jednak dalej próbowałam, tym razem przelewałam własną energię. Na pewno nie pomagała mi ta cała mieszanina aur magicznych unosząca się w powietrzu – od najjaśniejszej po najmroczniejszą. I chociaż nigdy nie uważałam magii za coś szczególnie złego, to teraz, czując magiczny odór tego capa, zaczęłam mieć wątpliwości.

– Grynfilda! Pomóż mi z tym! Lepiej się na tym znasz! Grynfilda...

Obejrzałam się. Grynfilda, jak i reszta naszej wesołej kompanii, głośno skandowała na cześć mrocznego tryka, a nawet śmiała się, ukazując swoje szczerbate uzębienie.

Kiedys więdmy były „kobietami, które wiedzą”. Ta trójka z całą pewnością była już tylko starymi więdmmami!

Przyłożyłam jeszcze więcej mocy do leczenia, ale wiedziałam, że niewiele to da. Spojrzałam na pole bitwy. Bambi strzelał właśnie jakąś wiązką energii, Koziołek Matolek odwdzięczał się za to miniaturowym trzęsieniem ziemi.

Gdybym tylko nie wypita tego cholernego soczku, nie leżałaby teraz tutaj umierająca!

Soczek...

Myśl, która wpadła mi wtedy do głowy, była całkowicie irracjonalna, ale zważywszy na rozgrywającą się w tle walkę kopytnych, uznałam, że ma szansę powodzenia...

Spojrzałam na dłoń... I wsadziłam ją tak głęboko w usta, jak tylko potrafiłam.

Od razu poczułam to wyczerpujące uczucie, obecne przy wymiotach. Czarny strumień poleciał mi z ust, lądując na ziemi... A ta zaczęła płonąć. Jakaś kropelka poleciała mi też na włosy, co akurat ugasiłam jednym, krótkim słowem zaklęcia mrozu.

Matoha poczuła. Skręciła się, jakby coś ukuło ją w bok. Jeleń, nie czekając, natarł na swojego adwersarza i zakończył walkę. Z truchła uniósł się czerwono-czarny dym

Może on teraz uratuje Staşkę!

Wiedźmy ulotniły się gdzieś, a rogacz szedł wolnym majestatycznym krokiem wprost ku mnie i rannemu...

... I równie majestatycznym krokiem nas minął. Ani się nie obejrzał.

Stałam jak wryta, w poczuciu ogarniającej bezsilności, gorszej niż przy rzyganiu.

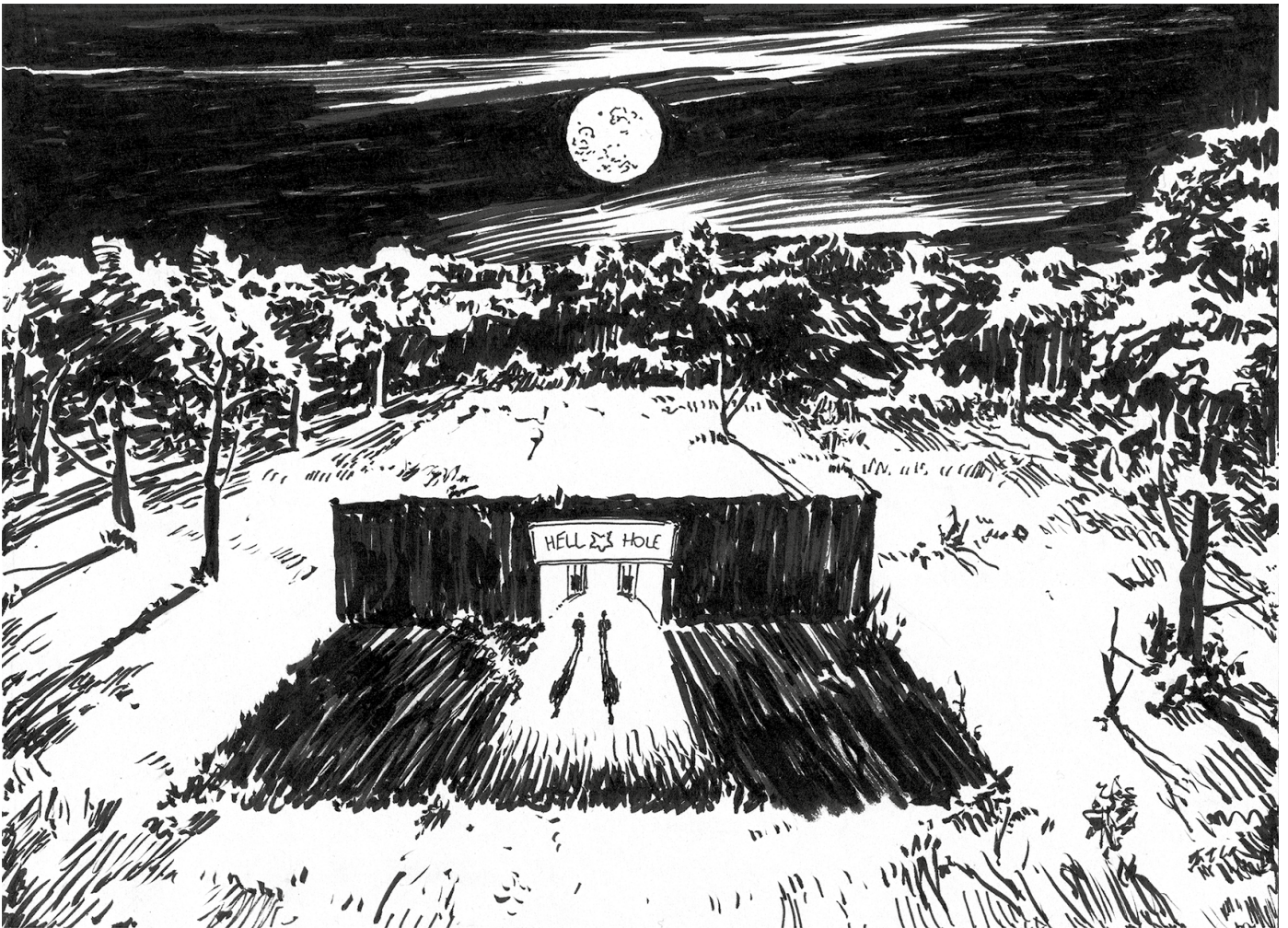
– Ty gnoju! – krzyknęłam w końcu. – Myślisz, że wystarczy walczyć ze złem, żeby być dobrym! Dobro trzeba robić, by takim być! Pomóż mi, kurwa! Anioł niby jesteś, co? Legendy kłamią! Równie, żeś upadły, jak to! – wskazałam na truchło Matohy.

Odwrócił łeb. Spojrzał na mnie i na rannego, po czym odwrócił się i odszedł, znikając po chwili między drzewami.

A ja stałam tylko nad umierającym i zastanawiałam się, co mi po tej wyższości moralnej, skoro mogłam tylko stać i patrzeć, jak ona kona, jęcząc żałośnie, przepełniona bólem?

Dominik Letner

Klub nocny „Hellhole”



„HELL HOLE”

J. OZGA '18

Wakacje w czasie studiów to często problematyczna sprawa. Człowiek ma do dyspozycji trzy miesiące wolnego, jednak nasuwa się problem natury finansowej. Ja i mój przyjaciel Zenek Kołodziej pracowaliśmy razem cały lipiec i sierpień, aby zaoszczędzić na wakacje we wrześniu. Potem okazało się, że jednak nie stać nas na dłuższe zagraniczne wczasy. Pozostało nam pojechać na tydzień i wydać wszystko, żyjąc bardzo skromnie, albo pojechać gdzieś w Polskę.

Temat wyjazdu wciąż przewijał się w naszych rozmowach, kiedy pracowaliśmy w magazynie dużej fabryki. Zarobienie pieniędzy na wakacje kosztowało nas sporo wysiłku, a już na pewno mnie, bo Zenek opanował objanie się do perfekcji. Kiedy już zdobyliśmy fundusze, ciężko nam było rozstać się z nimi zbyt szybko, dlatego zdecydowaliśmy się na tańsze wczasy. Stwierdziłem, że dużo ruchu dobrze nam zrobi po miesiącach siedzenia na wykładach. Dlatego też wybrałem góry – dokładniej Góry Świętokrzyskie.

Zarezerwowałem mnie i Zenkowi pokój w ośrodku agroturystycznym „Maja” w miejscowości Krajno. W okolicy było sporo miejscowości o podobnej nazwie, więc szybko pogubiłem się w tym. Mieliśmy blisko do gór, a także do drogi dojazdowej do Kielc. Zenek cały czas marudził, że wolałby być bliżej miasta, gdzie „coś się dzieje”. Ja uparłem się, że potrzebujemy chwili wytchnienia od miejskich klimatów, skoro studiowaliśmy w dużym mieście. Pojechaliśmy więc moim starym samochodem, jeszcze sprzed 2000 roku.

Spędziliśmy pierwsze kilka dni na chodzeniu po górach. Było bardzo przyjemnie, pomijając marudzenie Zenka. Nie nawykł on do takiej ilości wysiłku. Trudno mi mówić źle o moim najlepszym przyjacielu, ale Zenek od zawsze był krętaczem, dlatego większość rzeczy robili za niego inni. Drobne kradzieże, fałszerstwa ocen w indeksie oraz pakowanie innych w kłopoty dla własnej korzyści, to była jego specjalność. Dlatego lubił być blisko ludzi, bo zawsze mógł znaleźć sobie ofiarę. Niemniej jednak znałem go od zawsze i, czasem z wielkim trudem, tolerowałem jego wybryki.

W piątek nie mogłem już znieść jego marudzenia, dlatego postanowiłem zabrać go na rynek kielecki. Zajechaliśmy tam po śniadaniu. Spacerowaliśmy sobie z plecakami po starówce i podziwialiśmy budynki. Ja robiłem im zdjęcia telefonem, a Zenek często uciekał ode mnie, aby zaczepiać lokalne dziewczęta. Nie można było odmówić mu uroku osobistego. Kiedy znaleźliśmy się pod ratuszem, a Zenek znowu szykował się na podryw, stało się coś dziwnego.

Zenek wypatrzył dwie przepiękne, ale ponuro wyglądające dziewczyny. Już miał podejść, gdy jako pierwszy zbliżył się do nich dziwny jegomość. Miał

na sobie długi płaszcz, szeroki kapelusz, okulary przeciwsłoneczne, a w dłoni trzymał rozłożony parasol. Zaczął rozmowę z dziewczętami, coś im pokazując. Zenek kazał mi usiąść na pobliskiej ławce i udawać, że odpoczywam. On też przycupnął jakby nigdy nic, ale tak naprawdę podsłuchiwał. Ja też usłyszałem strzępy rozmowy.

– Chciałem serdecznie zaprosić was do klubu „Hellhole” na całonocną imprezę – mówił mężczyzna z parasolem.

– Rozumiem, że do klubu mają wstęp tylko tacy jak my – chciała dowiedzieć się niższa dziewczyna.

– Wy i wam podobni, ale na pewno nie zwykli ludzie. Wstęp tylko z zaproszeniami. Macie tutaj po jednym.

– Gdzie jest ten klub? – zapytała wyższa dziewczyna.

– W połowie drogi pomiędzy Mniowem a Serbinowem, pośrodku lasu. Na zaproszeniach macie mapki dojazdowe. Traficie na pewno.

– Wielkie dzięki!

– Tylko pamiętajcie o tym: ani słowa nikomu, nigdzie i nigdy!

– Tak jest! – potwierdziły naraz obie dziewczyny.

Twarz Zenka wyrażała coraz większe zainteresowanie tym klubem. Kiedy mężczyzna z parasolem skończył rozmowę z dziewczętami i odszedł, Zenek podążył za nim. Mnie kazał zostać na ławce. Ze zniecierpliwieniem obserwowałem oddalające się dziewczyny, bo Zenka straciłem z oczu dużo wcześniej. Wrócił po kilku minutach, zziębnięty i przestraszony.

– Staszek, jesteś! – wysapał. – Nie uwierzysz, co się stało!

– Co się miało stać? – zapytałem. – Uciekł ci?

– To też! Ale okazało się, że nie tylko ja go śledziłem. Przeszkodziła mi jakaś laska ze sroką.

– Co takiego?! O czym ty do mnie mówisz?

– No normalnie dziewczyna, tylko że miała srokę na ramieniu, chyba tresowaną.

– I co zrobiła?

– Laska pobiegła za gościem z parasolem, a sroka rzuciła się na mnie! Chciała wydziobać mi oczy! Musiałem uciekać!

– Ale nic ci się nie stało?

– Nie, tylko zmęczyłem się trochę.

– Aha, czyli ten temat mamy z głowy i możemy wrócić do zwiedzania.

– Nie ma mowy! – oburzył się Zenek, po czym rozejrzał wokół. – O, nadal tu są te dwie dziwne laski! Spróbuję do nich zagadać. Zaczekaj tutaj!

Zenek rozmawiał z dziewczętami, lecz został wyraźnie spławiony. Nie zrezygnował tak łatwo. Najpierw odsunął się, a potem znowu ruszył niepostrzeżenie za nimi. Nie widziałem, co później zrobił, bo oddalił się ode mnie za bardzo. Jednak wkrótce Zenek wrócił z uśmiechem na twarzy i zaproszeniami w ręku.

- Ukradłeś je?! – zapytałem zszokowany.
- Skąd to przypuszczenie? A może mi je dały.
- Za dobrze cię znam, żeby w to uwierzyć! Poza tym widziałem, co działo się między wami.
- Dobrze, ukradłem je!
- To powinieneś je natychmiast oddać!
- Nie ma mowy! Idziemy dzisiaj na tę imprezę!
- Ale...!
- Żadnego „ale”! Teraz będziemy chodzić tam, gdzie ty będziesz chciał, ale wieczorem idziemy do tego klubu!

Stało się tak, jak powiedział Zenek. Za dnia zwiedzaliśmy Kielce. Byliśmy w Muzeum Narodowym, Muzeum Zabawek, Geoparku i kilku innych ciekawych miejscach, zjedliśmy obiad i kolację na mieście, a wieczorem wyruszyliśmy do klubu „Hellhole”. Dziwiłem się, że Zenek uparł się akurat na ten konkretny klub poza miastem, skoro niedaleko mieliśmy kilka innych. Nie rozumiałem też, dlaczego Zenek nie chciał wrócić do naszego pokoju i się przebrać. Dwóch gości w krótkich spodniach, koszulkach, sandałach i z plecakami wyglądało mało wyjściowo. Ale Zenek za żadne skarby nie chciał wracać. Czyżby bał się, że zmienię zdanie i zechcę zostać w pokoju?

Dzięki mapce na zaproszeniach nie mieliśmy problemu ze znalezieniem właściwej drogi. Jednak samo dotarcie do celu nie było łatwe. Według instrukcji należało zostawić auto na parkingu koło lasu i przedostać się pieszo do klubu w lesie. Zacząłem podejrzewać, że to żart lub pułapka. Jak można budować klub pośrodku lasu? Kto zgodziłby się na coś takiego?

Niemniej jednak po kilku minutach przedzierania się przez chaszczę usłyszeliśmy odbijającą się echem muzykę. Poszliśmy więc dalej, aż zobaczyliśmy kolorowe światła migające między drzewami. Wreszcie naszym oczom ukazał się przeogromny, rozświetlony i dudniący muzyką budynek. Luksus i przepych błyszczały tu na każdym kroku. Wkrótce weszliśmy na solidny betonowy blok oraz czerwony dywan prowadzący do wejścia. Ubrany w garnitur bramkarz obrzucił nas podejrzliwym spojrzeniem, ale po zobaczeniu zaproszeń wpuścił nas do środka.

Eksplozja dźwięku! Szał kolorów! Kakofonia radości i dżungla ruchliwych ciał! Wrażenie, jakie to miejsce wywierało na człowieku, było niesamowite! Ja i Zenek szybko daliśmy porwać się duchowi imprezy. Oświecenie i nagłośnienie było perfekcyjne, a goście klubu tworzyli wyjątkową atmosferę. Wszyscy byli zadowoleni, nikt nikomu nie wadził, goście i obsługa odnosili się do siebie z szacunkiem. Teraz zacząłem cieszyć się, że tu przyjechaliśmy.

Młoda długowłosa szatniarka uwolniła nas od plecaków. Na początek usiedliśmy przy barze i zamówiliśmy drinki. Nazwy dań i napojów w karcie budziły grozę. Ale staraliśmy się nie okazywać negatywnych emocji, kiedy barman przyniósł nasze „łzy dziewczicy” oraz chrupki o nazwie „Wydarta skóra” na zakąskę. Jedzenie mile połechtало nasze podniebienie, a drinki bardzo szybko uderzyły nam do głowy. Ledwo uporaliśmy się z nimi, podeszło do nas kilka dziewcząt i poprosiło o taniec. Nie mogłem uwierzyć w nasze szczęście!

Tańczyliśmy bardzo długo. Piosenki były chwytliwe, a didżej lubił dodać jakiś efekt od siebie. Czasem robiliśmy przerwy i wtedy siadaliśmy do stolików na rozmowy. Dziewczyny bardzo chętnie słuchały naszych opowieści. Dzielili się też swoimi doświadczeniami. Stwierdziłem, że musiały być już pijane, bo czasami opowiadały niestworzone rzeczy rodem z literatury fantastycznej. Zenkowi nie robiło różnicy, co mówiły. Po jego lśniących oczach zorientowałem się, na co tak naprawdę miał nadzieję.

W pewnym momencie musiałem pójść do toalety. Przeprosiłem więc i zacząłem krążyć po klubie, aż znalazłem właściwe pomieszczenie. Było bardzo gustownie urządzone, a nawet ładnie pachniało (o dziwo!). Pewien wysoki i chudy mężczyzna w kombinezonie z logo klubu akurat zmywał podłogę. Na jego pociągłej twarzy pyszniły się pryszczki oraz słaby zarost, a długie kasztanowe włosy związał w koński ogon.

— Och, widzę, że na razie nieczynne — bardziej stwierdziłem, niż spytałem. — To ja przyjdę później.

— Ależ proszę, proszę — zaprosił mnie mężczyzna. — Proszę nie zwracać na mnie uwagi.

— Dzisiaj ma pan sporo pracy? — zagadnąłem.

— Ano tak, jak zwykle.

— Często są tutaj imprezy?

— Zawsze w okolicach pełni księżyca.

— Dziwny termin na imprezy.

— Tylko wtedy klub wyłania się spod ziemi. W przeciwnym wypadku działamy na dole. Ale wtedy nie wpuszczamy nikogo z zewnątrz?

- Wyłania się spod ziemi? – dziwiłem się. – Na jakim dole?
- Pan chyba pierwszy raz? – domyślił się mężczyzna.
- Tak, zgadł pan.
- Zatem witamy po raz pierwszy. Może pomogę wybrać panu sekcję? Jaką istotą pan jest?
- Istotą?! Jestem człowiekiem!
- Tak, a poza tym?
- Jak to poza tym? Jestem zwykłym człowiekiem.
- To raczej niemożliwe. Bo wie pan, my tu zwykłych ludzi nie wpuszczamy. Zwykli ludzie nawet nie zobaczą tego miejsca, chyba że otrzymają zaproszenie. Może pan być najwyżej pół-człowiekiem. A w drugiej połowie czym pan jest? Wampirem? Demonem? Wilkołakiem? Upiorem? U nas znajdzie pan odpowiednią sekcję bez względu na to, jaką pan jest istotą.
- O czym pan do mnie mówi?! To już przestało być śmieszne! Chyba naprawdę wrócę później.
- Chwila moment... – sprzątacze przyjrzał mi się bliżej. – O Boże, pan rzeczywiście jest zwykłym człowiekiem!
- Tak, zawsze byłem, jestem i będę. Czy to jakiś problem?
- Jak pan tutaj wszedł? Kto pana wpuścił?
- Mój kolega ukradł dla nas zaproszenia – przyznałem się.
- Niech pan zabiera kolegę i natychmiast stąd uciekajcie!
- Ale...!
- To nie jest miejsce dla pana! – mężczyzna stał się surowy. – Jak pozostali pana odkrywają, to skończy pan jak ja albo gorzej. Niech pan wynosi się stąd czym prędzej!

Rzucił mi jeszcze srogie spojrzenie i wyszedł, zabierając ze sobą wiadro i mop. Postanowiłem powiedzieć o tym Zenkowi. Skorzystałem z pisuaru, umyłem ręce i wyszedłem. W korytarzu do toalet natknąłem się na Izę, jedną z dziewczyn, z którymi rozmawialiśmy. Niezwykle ponętna, kształtna i dobrze wyposażona szatynka. Gdy tylko mnie zobaczyła, uśmiechnęła się promiennie. Złapała mnie za rękę i pociągnęła do małego pomieszczenia piętro wyżej. Było tam łóżko z łańcuchami, a także inne sprzęty do wyjątkowo wyuzdanych zabaw, jakie można zobaczyć tylko w ekstremalnych filmach dla dorosłych. To znaczy, tak domyślałem się, bo przecież ja nie oglądam takich filmów.

Spojrzałem zaniepokojonym wzrokiem na Izę. Aż podskoczyłem z wrażenia, gdy zorientowałem się, że jest kompletnie naga. Jeszcze nigdy nie widziałem tak idealnej kobiecej figury. Pełne kształty, piękne krzywizny,

gładka skóra. Byłem wniebowzięty, ale jakaś część mnie wciąż sygnalizowała niebezpieczeństwo.

– Spodobałeś mi się już na samym początku – powiedziała Iza. – Świetnie zgrywasz niewiniątko. A teraz pokaż mi, jaki jesteś naprawdę!

– C-co m-mam c-ci po-pokazać? – zacząłem jąkać się ze strachu.

– Gra swoją rolę do końca! – zaśmiała się Iza. – To może ja zacznę, a ty dołączysz.

W tym momencie Iza stanęła w czarnych płomieniach. Jej ciało zmieniło się. Skóra zrogowaciała, w różnych miejscach wyrosły rogi, z pleców wystrzełyły skrzydła i ogon, paznokcie zmieniły się w szpony. Wkrótce z ognia wyłoniła się przerażająca postać. Przywarłem do ściany i krzychałem, a nowe wcielenie Izy taksowało mnie spojrzeniem żółtych oczu jak u węża.

– Co z tobą, Staszek? – zapytała Iza twardszym głosem. – Nigdy nie widziałeś sukkuba? Ty... Zaraz! Teraz to widzę! Ty jesteś zwykłym człowiekiem!

– T-tak! – przyznałem jęklonie.

– Tacy jak ty nie mają tu wstępu!

– Tak, wiem, już wychodzę!

Rzuciłem się biegiem przed siebie. Iza zamachnęła się na mnie masywną łapą, ale jakoś ominąłem jej cios i wypadłem z pomieszczenia. Przedzierałem się przez tłumy ludzi w korytarzach, na schodach, a potem na parkiet, rozpaczliwie nawołując Zenka. Wtem powietrze przecięła sukkub, który wylądował na podeście didżeja. Porwał mu mikrofon i wykrzyknął weń „Kod czerwony!”. Muzyka momentalnie ucichła, a goście zaczęli rozglądać się lśniąco oczyma. Natychmiast pojмали mnie i Zenka i przyprowadzili na środek parkietu. Klęczeliśmy przerażeni na podłodze, obezwładnieni przez potężnych ochroniarzy. Przed nami znikąd pojawił się dobrze zbudowany mężczyzna w błyszczącym czerwonym garniturze oraz drogiej biżuterii.

– Po raz kolejny ludzie wdzierają się w nasze progi – przemówił do mikrofonu mężczyzna. – Co mamy z nimi zrobić?

– Zabić, zabić, zabić! – ryczał tłum.

– Ależ spokojnie, moi drodzy! Nie jesteśmy barbarzyńcami. Zobaczmy najpierw, kim są i czego dokonali nasi ludzie. Wtedy ukarzymy ich stosownie do przewinień. Jako właściciel tego klubu osobiście dokonam ich oceny!

Po tych słowach mężczyzna nachylił się nade mną, chwycił mnie jedną ręką za dolną szczękę i spojrzał mi prosto w oczy. Miałem wrażenie, że wwierca mi się wzrokiem w mózg. Wtem wszystko, co do tej pory zrobiłem, powiedziałem i pomyślałem, przeleciało mi szybko w pamięci. Mężczyzna

skrzywił się tylko i przeszedł do Zenka. Zajmował się nim o wiele dłużej niż mną. Na koniec uśmiechnął się nikczemnie.

– Już wszystko wiem, moi drodzy! – przemówił znów mężczyzna w czerwonym. – Pierwszy z mężczyzn znalazł się tu pod pewnym przymusem. W dodatku jest dobrym człowiekiem. Zatem musimy puścić go wolno!

– Werdykt drugiego! Werdykt drugiego! – zaczęli skandować goście.

– Natomiast drugi z ludzi – podjął właściciel klubu. – trafił tutaj, bo ukradł zaproszenia przeznaczone dla kogoś innego! Ale to nie jego jedyne przewinienia! Ten mężczyzna ma na sumieniu wiele kradzieży, oszustw i innych grzechów! Nawet tutaj nie mógł się powstrzymać!

Mężczyzna z mikrofonem wprawnie rozpruł boczną kieszeń szortów Zenka. Posypała się stamtąd damska biżuteria wszelkiej maści. Zenek spojrzał na mnie błagalnie. Nie miałem pojęcia, co o tym myśleć, dlatego odwróciłem wzrok. Mój przyjaciel zaczął cicho szlochać. Kilka dziewcząt, które rozpoznały swoje ozdoby, spojrzało na niego z nienawiścią.

– Zabić drugiego! Zabić drugiego! – zaczęli wołać zgromadzeni.

– Zaraz rozstrzygniemy los drugiego mężczyzny! – powiedział właściciel klubu – Ale najpierw musimy zająć się pierwszym! Pierwszy mężczyzna to wrażliwy człowiek i z pewnością nie chce wiedzieć, co spotka jego najlepszego przyjaciela. Przyjmij zatem nasze ostrzeżenie – tutaj zwrócił się bezpośrednio do mnie. – Nigdy tutaj nie wracaj! I bądź dobrym człowiekiem, bo to cię dziś uratowało. A teraz precz!

Ochroniarze wzięli mnie na ręce i wynieśli przez tłum. Desperacko nawoływałem Zenka. On też wykrzykiwał płaczliwie moje imię, ale jego głos ginął we wrzasku złorzeczących mu gości. Miotłem się jak oszalały, lecz nie miałem szans z żelaznym uściskiem. Ochroniarze wynieśli mnie poza teren klubu i rzucili na trawę. Gdy chciałem się podnieść, oberwałem jeszcze plecakami od szatniarki. Padłem na ziemię, uderzyłem głową o wystający konar i straciłem przytomność.

Ocknąłem się, gdy ktoś klepnął mnie mocno w twarz. Otworzyłem oczy i zobaczyłem młodą dziewczynę w staromodnym stroju ze sroką na ramieniu. Przysunęła w moim kierunku elektryczny lampion, a na jej twarzy malowało się skupienie i z troskanie.

– Wszystko w porządku? – zapytała dziewczyna.

– Nie bardzo – odparłem słabo, po czym zacząłem jej żywo opowiadać o tym, co zaszło.

– Czyli ciebie wyrzucili, a twój kolega został w środku? – upewniła się

dziewczyna. – Zaraz, to chyba was Łucja widziała na rynku w Kielcach. Pogo-
niła twojego kolegę, kiedy chciał mi przeszkodzić.

– Łucja? – zapytałem skołowany.

– To ona – wskazała na srokę na ramieniu.

– Kim wy jesteście?

– Tropimy zjawiska paranormalne zagrażające ludziom. Chciałyśmy zna-
leźć klub dla demonów o nazwie „Hellhole”, ale widzę, że się spóźniłyśmy.

– Jak to się spóźniłyście? Przecież – spojrzałem w stronę klubu, ale na jego
miejscu była tylko zapadnięta leśna polana. – Gdzie klub?! Gdzie podział się
cały budynek?!

– Nie ma go. Kiedyś w tym miejscu stała karczma dla demonów.
W pewien Wielki Piątek została jednak pochłonięta przez ziemię. Od tej pory
wraca tylko w czasie pełni księżyca, która rozpoczyna się w piątek. Na pod-
stawie zdjęć z zaproszenia domyśliłam się, że teraz ma bardziej nowocze-
sny wygląd.

– Pojawia się tak rzadko? – jęknąłem. – Ale przecież mój przyja-
ciel Zenek...!

– Zapomnij o nim! Nigdy go więcej nie zobaczysz!

– Ale...

– Nic tu po nas. Idziemy stąd. Chodź albo cię tu zostawię!

Rozbity emocjonalnie powlokłem się za dziewczyną, dźwigając dwa ple-
caki. Było mi przykro z powodu Zenka. Nie zasłużył na taką śmierć. Może nie
był idealny, ale z pewnością nie był do końca zły. Wtem przypomniałem sobie
sprzątacza z męskiej toalety. On chyba też musiał odpokutować za przewinie-
nia. Miałem nadzieję, że Zenek dostanie podobną funkcję zamiast stracenia.
Bo chyba sprzątanie toalet w klubie dla demonów nie może być takie złe. Na-
wet jeżeli miałyby trwać wiecznie...

Adam Józef Michalczyk

Misja



„MISJA”

J. ORGA'18

Tuż przed osiągnięciem skraju Drogi Mlecznej platforma międzygalaktyczna weszła na orbitę eliptyczną w płaszczyźnie orbitujących planet Układu Słonecznego. Po skorygowaniu prędkości i toru lotu z torem krążenia jedynej zamieszkałej planety w tym układzie, platforma zawisała nad jej księżycem po jego odwrotnej, ciemnej stronie. W ten sposób przybysze byli niewidoczni dla istot planety i w każdym momencie mogli opuścić to miejsce niezauważeni przez Ziemiaków.

Z platformy wystartowały dwa małe dyski zwiadowcze, jedno obsługowe pojazdy. Jeden z nich pozostał na orbicie poza Księżycem pełniąc rolę przekaznika satelitarnego między platformą a drugim dyskiem zwiadowczym, który wszedł w atmosferę okołoziemską, by wykonać rozpoznanie na powierzchni planety zgodnie z postawionymi celami platformy. Jego lądowanie na powierzchni zaplanowano w czasie, gdy tę część globu spowija ciemność nocna, tak by swym przybyciem nie zwracać uwagi tubylczych istot.

Henryk spał niespokojnie. Przez sen gestykulował i co jakiś czas wykrzykiwał coś niezrozumiale, jakby wydawał szybkie, krótkie rozkazy. Przy jednym takim zakrzyknięciu aż usiadł na łóżku z szeroko otwartymi oczami i ustami, jakby nagle stracił mowę. W tym momencie pokój rozjaśnił się bladoniebieskim światłem.

— Heniek, to tylko piorun błysnął. Nie przeżywaj tak. — Skomentowała zachowanie męża kolejny raz wyrwana ze snu jego reakcjami, żona Aniela. — Pewnie idzie burza. Spać przez ciebie nie mogę. Wiercisz się i gadasz jak poparzony upałem.

— Anielciu, burza mówisz? A przecież grzmotu nie było słychać.

— Bo pewnie daleko i jeszcze nie doleciał.

— Wyjdę przed dom, rozejrzę się.

— A nie zaśnij gdzie przy zbożu na glebie. Ranek może być chłodny i się przeziębisz.

Henryk wyszedł na podwórze tak, jak siedział przed chwilą na łóżku, boso i w samych bokserkach, bo noc ciepła po upalnym dniu. Anielka tymczasem już zapadła w sen nieniekpokojona — na razie przez męża. Jej spokój senny nie trwał niestety długo, bo zbudziła ją znowu jasna niebieskawa poświata rozświetlająca sypialnię przez otwarte drzwi, w których stał Henio. Usiadła na pościeli łóżka nagle wyrwana ze snu, podobnie jak wcześniej mąż, z szeroko otwartymi oczami i ustami z zaniemówienia.

— Anielciu, gościa mamy. — Powiedział jakby metalicznym głosem Henio i rozpułnął się w niebieskawej poświacie. Aniela bez słowa podążyła za nim

kierowana blaskiem niebieskawej jasności, choć w mieszkaniu nie paliły się żadne światła. Weszła do kuchni tak samo oświetlonej, gdzie przy stole siedział już jej mąż, a naprzeciw niego, nad krzesłem nieco powyżej krawędzi stołu unosiła się srebrzysta, wirująca kula prawie tak samo duża, jak głowa jej męża.

– Witaj Anielciu – zaskrzeczał podobnie metalicznie kulisty stwór i jednocześnie powierzchnia gadającej kuli zwrócona w jej kierunku przybrała rysy jej twarzy.

– Siądź z nami. Napijesz się? – Spytał Henio.

Aniela, wpatrując się w swoją podobiznę, jaką odzwierciedlała teraz kula, przemawiając do niej, usiadła powoli na krześle obok nie spuszczając z niej oczu, zapytała męża.

– Heniu, kto to, albo co to tam jest?

– Mówiłem Anielciu, gości mamy. Poznajcie się. To międzyplanetarny kulogadacz nie z tej ziemi. Odwiedził nas z kumplami. Spotkałem go przy łanie naszego zboża, tuż za drogą naprzeciwko naszej zagrody, no i zaprosiłem na jednego. Napijesz się z nami?

Aniela dopiero teraz zauważyła, że gość za pomocą jakiejś ssawki wysysa powoli ze stojącej przed nim na stole literatki jej zawartość.

– Heniek! Poisz go nad samym ranem księżycową?! Spoisz galaktogościa i nie będzie w stanie nawet się stąd wytoczyć! Zabieraj mi to świństwo. Moją naleweczkę zaraz wam przyniosę! – I zabrała się za uprzątnięcie stołu.

Na tę uwagę kulisty gość – przyjmując tym razem wizerunek twarzy Henia – czknał metalicznie i zadzwieczał:

– Mnie tam księżycowe specjały niestraszne.

Aniela popatrzyła na obu z politowaniem i zdecydowanie zabrała mocny trunek, a w zamian przyniosła swoją najlepszą nalewkę wiśniową. Poczęstowała gościa. Ten skosztował i z aprobatą mlasnął blacho dźwięcznie. I po kilku kolejkach języki się rozwiązały. Przybysz opowiedział im o misji międzyplanetarnej platformy i jakie jest jego zadanie tu na Ziemi, konkretnie u nich. Zadowolony był, że trafił właściwie, bo znalazł się w Akwizgranie, tak jak zaplanowano. Jednak wypytywał o rzeczy, których ani Henio ani Aniela nie potrafili potwierdzić ani w żaden sposób przybyszowi z kosmosu pomóc.

– Trzeba Kazika zbudzić, to może mu co wygoglooje – powiedział Henio.

– Dziecko o tej porze chcesz budzić? Zaśpi rano i do szkoły się spóźni. – Zmartwiła się Aniela.

– Przecież jutro sobota. Nie musi rano wstawać. – Zabrzęczał znowu kulisty gość, przybierając jednocześnie wygląd twarzy ich syna Kazika.

– Już nie śpię. Brzęczycie od godziny i spać się nie da. – W drzwiach stał Kazik. Pod pachą trzymał laptop.

– Witaj Kazimierzu. Siadaj przy nas. – Zaprosił go międzygalaktyczny gość i wyłuszczył szybko, jaki ma problem do rozwiązania.

Kazik słuchał uważnie i jednocześnie wystukiwał coś na klawiaturze laptopa, przeszukiwał Internet.

– Wygląda na to, że pomyliliście współrzędne. Nasza osada też się nazywa Akwizgran, ale w paśmie Gór Świętokrzyskich. Natomiast Karolus Magnus, Rex Romanorum i jego korona spoczywają w katedrze w Aachen. To dzisiaj w Niemczech. Za czasów Karola Wielkiego, nazywała się ta miejscowość Akwizgran, jak nasza. – I Kazik opowiedział przybyszowi o drodze królewskiej do klasztoru na Łysej Górze, opowiedział o Kazimierzu Wielkim, królu naszego narodu, i o Łysogórach, historii i legendach. Przybysz spoza naszej galaktyki tak był zaciekawiony opowieścią, że zaprosił wszystkich do swojego latającego dysku i przelecieli nad całym pasmem świętokrzyskim, zwiedzili później klasztor i pozdrowili pielgrzyma z Nowej Słupi wędrującego do klasztoru.

Kulisty zwiadowca był im wdzięczny ogromnie za to, czego się dowiedział i co zobaczył. W ramach rewanżu, a przede wszystkim pod wpływem historii kamiennego pielgrzyma z Nowej Słupi, chciał ożywić nieszczęśnika, by ten nie męczył się już tak strasznie swym marszem. Jednak gospodarze odwiedli go szybko od tego pomysłu, bo choć to legenda o końcu świata, to nigdy nie wiadomo, czy się nie sprawdzi i czy ten świat, to nie cały kosmos. I ten argument przekonał zwiadowcę, by odstąpić od tego projektu. Tymczasem pożegnał się, bo musiał wypełnić swoją misję. Dzięki współrzędnym Akwizgranu w Niemczech, jakie dał mu Kazimierz, wiedział, że tym razem nie zabłądzi. Obiecał też, że gdy będzie wracał z Aachen na orbitę do swojej platformy międzygalaktycznej, wpadnie do nich jeszcze na krótko na kieliszeczek nalewki wiśniowej.

Od bliskiego spotkania dwóch różnych cywilizacji z Kosmosu w małej osadzie u podnóża pasma Gór Świętokrzyskich minęło już kilka lat. Kaik stale pogłębia swą wiedzę o astronomii i możliwych cywilizacjach pozaziemskich. Aniela co roku przygotowuje zapas

nalewki wiśniowej, a Henryk obsiewa, ten sam kawałek pola za drogą, zbożem. Czasami wychodzi nocą przed zagrodę i patrzy w niebo w kierunku Księżyca. I jak co roku, o podobnej porze, w tym samym zbożu powstaje taki sam – co przedtem – ślad po lądowaniu dysku przybysza spoza galaktyki naszego Układu Słonecznego.

Anna Możdżeń

Warkocze



„WARKOCZE”

J. OZGA '18

Jak każde podłe wino i to miało w sobie smolistą goryczkę. Podgrzane z miodem, wytrącało z siebie resztki uśmiechu Bachusa. Zamknąłem więc oczy, przypominając sobie słodkie popołudnie w nagranych murach willi, niebiański zapach róż kwitnących w ogrodzie cudownej hrabiny i, rzecz jasna, prześliczne wnętrza jej dłoni, które tamtego popołudnia całowałem. Prześwitującą skórę jej nadgarstków, boską gładkość ramion, cudowne linie jej obojczyków, pulsującą szyjkę, biel jej piersi, aksamit zagłębienia biegnącego wzdłuż brzucha do pępka i strzeliste kości bioder, kołyszających się jak bliźniacze żaglowce, gdy hrabina zafalowała z westchnieniem. I już, już wino zamieniało się w nektar włoskiego nieba, gdy w skrzypiących żałośnie drzwiach gospody zawył północny, dziki wiatr. Mroźny podmuch wpadł do wnętrza, obudził śpiących i śniących, jak ja, na jawie. W aureoli białego puchu ukazały się sylwetki dwóch dość schludnych biedaków. Nic interesującego. Cóż. W takich warunkach nawet moja wyobraźnia nie pracuje w zadowalający sposób. Wygnany tak nagle z czułych objęć hrabiny, ze słonecznej Italii szukałem innej pożywki dla wyobraźni, aby znieść lepiej te chwilowe niedogodności w podróży, zwłaszcza podłe wino. Jak zwykle w takich okolicznościach, postanowiłem szkicować, ale próba przelania na papier świetlistych, pachnących hrabiną wspomnień zakończyła się jedynie smutnym ziewnięciem. Wracałem do domu ojcowskiego. Tam zamiast hrabiny czekała na mnie narzeczona. Panna Anielcia o oczach raczej bez wyrazu, milcząca, nijaka i najczęściej w towarzystwie nietoperzycy, która swoim wzrokiem przewiercała na wskroś wszystkie moje grzechy. Jediną zaletą Anielci były jej ciężkie, rudozłote włosy, najczęściej zebrane w panieńskie warkocze. Spod powiek, obciążonych już nieco winem, dostrzegłem niewielki ruch w ciemnym kącie. Wybudzony ze snu pijaczek o twarzy szczura niespokojnie rozejrzał się wokół. Najwyraźniej nie było go stać ani na nocleg ani na następny trunek, bo przez moment zagłębił smutne spojrzenie w pustkę przed sobą. Zaciekawiał mnie ten nędznik. Pomyślałem więc, że będzie całkiem znośnie zająć się cichą rozmową z tym człowiekiem. Dyskretnie poprosiłem znów o podłe wino i dosiadłem się do biedaka. Przez moment patrzył na mnie lękliwie, ale szybko na jego twarzy odmalowało się nieśmiałe przyzwolenie, zwłaszcza, gdy dostrzegł, że stawiam przed nim dzbanek napitku. Siedzieliśmy chwilę w milczeniu. Wziąłem pierwszy łyk na zachętę i rzekłem:

– Usiadłem, człowieku, przy tobie, aby czymś zająć sobie te marne godziny do świtu, gdy będę mógł jechać dalej. Jeśli moje towarzystwo jest Ci niemiłe lub jeśli po prostu wolisz spać w tym swoim kąciu spokojnie,

powiedz tylko. Wino możesz zatrzymać. Uznaj to za jeden z chrześcijańskich uczynków, których w moim życiu, jak dotąd, raczej brakowało.

Z każdym moim słowem twarz pijaczyny się rozjaśniała aż w końcu okraślił ją szeroki uśmiech.

Okazało się też szybko, że nieduży człowieczek ma w sobie sporo miejsca na wino, które rozwiązało mu język. Zaczął opowiadać mi kolejne niesamowite historie, z których wywnioskowałem, że ma pociąg do przywłaszczania sobie cudzego mienia. Uznałem to za ironię losu, bo moja niechęć do rzuca-
nia się w oczy, przez którą nawet nie pomyślałem o braniu izby na górze, brała się z obaw przed kradzieżą. Obdartus okazał się jednak uczciwym złodziejem, co to okrada tylko bogatych, do których szczęśliwie mnie nie zaliczał, mimo dzielenia się z nim winem. Niemniej, mogłem wywnioskować, że nie jest taki niewinny za jakiego chce uchodzić. Zdarzało mu się okradać i martwych, na szczęście, nieżywych już od dawna, chociaż wzbraniał się przed nazywaniem siebie hieną cmentarną. Miał raczej na myśli takie miejsca, gdzie, jak to ujął, można „coś znaleźć”. I tym oto sposobem opowiedział mi o innym zajeździe, od ponad pół wieku opuszczonym, a konkretnie o jego piwnicy.

Pewnego, wyjątkowo upalnego dnia, jednego z szeregu arcynudnych dni, które spędzałem w domu rodzinnym, gdy moja wyobraźnia zdechła do szczętu, a pędzel i piórko wyschły na wiór, bo ileż można malować to samo drzewo, udałem się na poszukiwania natchnienia. Przypomniałem sobie historię opowiedzianą wtedy w zajeździe przez przypadkowego towarzysza popitki. Byłem szczerze zdziwiony, że tak szybko znalazłem opuszczony zajazd, a właściwie jego ruiny. Pijaczyna wspominał o tym miejscu z nieukrywaną tęsknotą, jakby było naprawdę trudne do znalezienia. A szukano go nie bez powodu – miały znajdować się tu całkiem znaczne kosztowności. Jeszcze większe zdziwienie i niepokój poczułem, gdy natrafiłem na wejście do legendarnej piwnicy. Drzwi ustąpiły bez żadnych problemów. Przede mną otwierała się jednak nie zwykła piwnica, jakiej mogłem się spodziewać, ale nisko sklepiony, wilgotny tunel przypominający raczej zejście do jaskini. Najpierw uderzyła mnie cisza. Odgłosy przyrody otaczającej zrujnowaną budowlę, śpiew ptaków, szum drzew zdawały się wpadać w ciemność niczym w miękką zasłonę. Miałem wrażenie, że jest to miejsce nasiąkłe czymś znacznie starszym niż sam zajazd, a już na pewno starszym niż opowiedziana mi historia.

Przed wielu już laty po okolicy przetoczyła się zaraza. Zdesperowani mieszkańcy postanowili zrobić rzecz barbarzyńską, dziką, cudownie pogańską – złożyć w ofierze człowieka, młodą dziewczynę, aby przebłągać

tajemnicze moce, które zsyłały nieszczęście. Zamknęto biedaczkę w tej piwnicy razem z zebranymi skarbami. Muszę przyznać, że to szalone okrucieństwo zrobiło na mnie niemałe wrażenie i dlatego już sama historia wydała się mojej złaknionej wyobraźni ożywym nektarem. Gdy stałem przed wejściem, owiewany cuchnącym oddechem tunelu, nie byłem jednak pewien czy chcę sprawdzać na własnej skórze, co w tej opowieści było prawdą. Moje czoło zrosił pot. Jednak wracać tak z niczym, tchórzyc i dalej malować drzewo?

Poprawiłem torbę ze szkicownikami, jakby miało mi to dodać odwagi i ruszyłem przed siebie. Na końcu tunelu majaczyła błękitnawa poświata i gdy dotarłem do tego miejsca, okazało się, że jestem w pomieszczeniu, które przypomina obszerłą studnię o nierównych, jakby falujących ścianach. Pięły się one w stronę bladego kręgu w górze jakby pod gęsto zarastającą roślinnością nie krył się żaden mur. Znajdowałem się pod ziemią i najwyraźniej już nie pod ruinami zajazdu. Panowała tu nieznośna wilgoć. Pod moimi stopami rozciągał się śliski dywan z mchu, porostów i brązowoszarej mazi, która mlaśkała przy każdym kroku. Z góry skapywała woda, a jej nieznośny szept już po chwili zdawał się układać w hipnotyzującą melodię. Wyciągnąłem bojowy szkicownik, aby z supłów wijących się pnączy i obłych poduszczek mchu wydobyć kształt pomieszczenia. Koszula przylegała do mojego spoconego ciała i sam już nie wiedziałem czy kropla, która spadała na kartę szkicownika była odpryskiem wilgoci z tych lepkich murów czy kroplą mojego własnego potu. Byłem na dnie studni – grzesznik wrzucony tu na tortury wśród zieloności i wilgoci lub też może przebywałem w tajemniczym miejscu pod wodą, na dnie morza, gdzie człowiek przestaje rozpoznawać znajome kształty. Takie cudaczne myśli przebiegały przez moją głowę i z każdą chwilą czułem bardziej, że potrzebuję odetchnąć świeżym powietrzem, a jednak nie mogłem się ruszyć z miejsca. W zapamiętaniu walczyłem z kreską, wiedziałem jednak, że jest to bezsensowny wysiłek. Choćbym stał tu milion lat i zamienił się sam w pokryty mchem kamień, nie dałbym rady odmalować tej bezkształtnej, fantastycznej gmatwaniny wszelkich odcieni zieleni, szarości i brązów, splątań, gęstych loków i leniwych fal roślinności, strzelających spomiędzy nich, jak iskry, jaszczurek i przede wszystkim tej upiornej wilgoci. A tak bardzo, bardzo chciałem to chociaż naszkicować!

Oblepiony wilgocią, czułem, że roślinność mnie pochłania, że tonę i wtedy mój wzrok, ślizgający się po dziwacznych układach pnączy, dostrzegł rąbek drzwi ukryty pod płaszczem roślinności. Przez chwilę poczułem, że ten widok przywraca mi trzeźwość. Drżącymi dłońmi schowałem oręż rysownika

do torby i ruszyłem ku wyjściu na ołowianych nogach. Gdy drzwi ustąpiły po krótkiej szarpaninie, w nozdrza uderzył mnie powiew niesamowitego, trupiego zaduchu. Pomyślałem, że być może nie są to drzwi, którymi wszedłem. A jednak, oglądając się za siebie, rozglądając wokół nie widziałem innego wyjścia, a dno studni zdawało się teraz falować zielonością, jakby podłoże chciało mnie wessać. Wszedłem do tunelu z myślą, że to jedyny sposób, żeby się stąd wydostać. Nie potrafię powiedzieć, ile kroków przeszedłem, zanim dotarłem do rozległej podziemnej, skalnej kaplicy. Tak, nie znajdę lepszego określenia dla wyrzeźbionej przez naturę sali, na środku której znajdowało się płytkie jezioro. Sklepienie wypełniały lśniąco, mineralne formy. Odbijały tysiące odblasków światła, którym promieniowała woda. Kryształowe sople układały się w dziwne i zmienne kształty, zdawało mi się, że widzę w nich scenę wielkiej bitwy albo anielskie chóry, by za chwilę dostrzec tańczące nimfy lub to sąd ostateczny z trupami powstającymi z grobów. To na pewno nie były drzwi, którymi wszedłem. Moje serce zatrzepotało, poczułem, że padam na kolana. Byłem w pułapce albo oszalałem. Wpatrując się tępo w szklistą powierzchnię płytkiego jeziora, dostrzegłem, że migotliwe podłoże składa się z lśniących kamyków i monet. Nagle usłyszałem chrzęst, a po powierzchni jeziora przebiegła delikatna zmarszczka. Podniosłem znużone blaskiem oczy i co zobaczyłem? Człowieka, żywą istotę, kobietę. Szła ku mnie, szurając malutkimi stopami po wielobarwnym dnie.

Nie myślałem zbyt wiele, poczułem się ocalony. Resztki rozumu i udawanego męstwa, które zazwyczaj daje o sobie znać w towarzystwie pięknej kobiety, kazały mi nawet zgrywać rycerza, który to raczej sam niesie ratunek niż rozpaczliwie go potrzebuje. Już zaczynałem układać uprzejme przywitanie, gdy słowa uwięzły mi w gardle, bo oto miałem przed sobą zjawisko, które sprawiło, że nigdy już nie sięgnąłem po pędzel. Niegdyś podziwiałem smutną Wenus z obrazu boskiego Botticellego. Kobieta, która stała przede mną również była melancholijną pięknnością, ale biła od niej nieziemskie siła, która, gdybym jeszcze nie klęczał na brzegu jeziora, sama przygięłaby mnie do ziemi. Gdy podeszła do mnie, poczułem krystaliczny chłód bijący od różowozłotego ciała i zakręciło mi się w głowie. Ta kobieta była moją hrabiną, była setką hrabin, hrabiną o tysiącach twarzy, hrabiną idealną, w której mieściły się wszystkie kobiety, które kiedykolwiek wielbiłem, które podziwiałem, wszystkie prawdziwe, poznane i te, które chociażby musnął mój wzrok, i wszystkie kiedykolwiek widziane na obrazach, wymarzone, wyśnione, zmyślane. Wszystkie niezwykle kobiety w niej jednej.

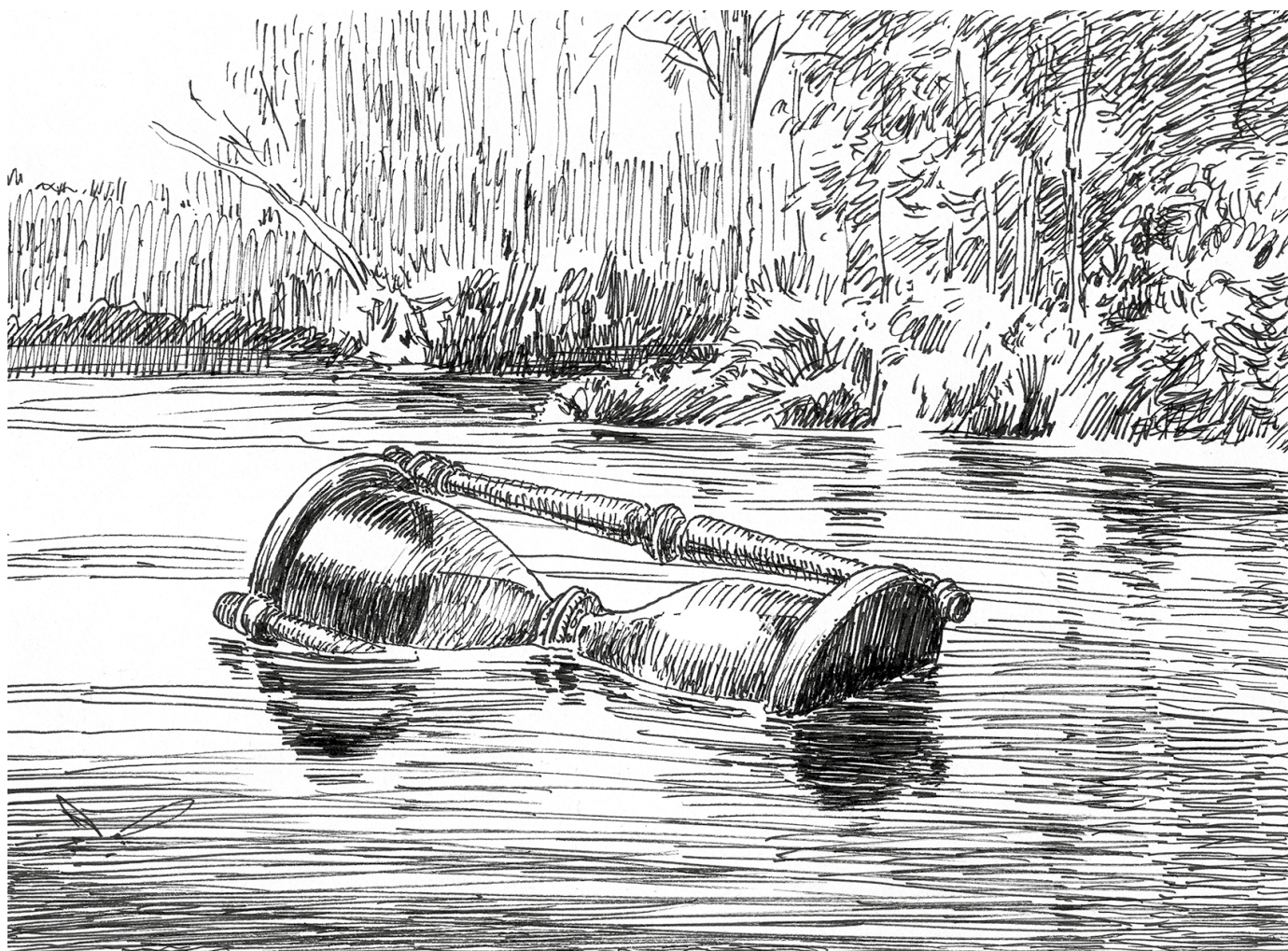
Było w jej oczach coś dzikiego, zwierzęcego, upajającego. Moje serce biło tak szybko, że myślałem, że biegnę i w istocie biegłem. Biegłem przez las, czułem woń krwi, pędziłem przed siebie, gnany czystym pragnieniem, czystym pożądaniem, by zatopić w czymś swoje zęby. Tętniło mi w głowie, ogłuszał mnie ten pęd. Ona była boginią łowów, dziką panią ubraną w księżyc i bezbronną sarną o wilgotnych oczach, a ja byłem łowczym z jej pędzącego po niebie orszaku i byłem jej zgubą, wilkiem pożerającym księżyc. Nie uśmiechając się ani razu, patrzyła bez mrugnięcia w moje oczy. Po obu stronach jej ramion, jak dwa płomieniste skrzydła sięgające kostek, opadały ciężkie, grube jak męskie ramię, płomienne warkocze. Ujęła je w połowie drobnymi jasnymi paluszkami o różowych końcówkach. Nie mogłem odebrać oczu od jej drobnych, jasnych paluszków, które gładziły złociste włosy. I wtedy przypomniały mi się niewinne, panieńskie warkocze Anielci. Anielci, której twarz nie przebiegła mi przed oczami w migotliwym spektaklu kobiecego piękna, jakiego przed chwilą byłem widzem, bo Anielcia była zbyt zwykła, przeciętna, aby zasłużyć sobie na miejsce w moich marzeniach. Nagle mój wzrok prześlizgnął się po cieniu poruszającym się po rozłśnionych wodach jeziora. Mój umysł, podążając stale za ruchliwymi palcami o różanych końcówkach, nie od razu odkrył, co widzę. Po tafli dryfowały zwłoki. Lśniły nieco delikatniej niż sama woda, ale również na nich migotała mineralna pokrywa, za którą snuły się cienkie włókna. Trup przypominał pływającego po wodzie egzotycznego ptaka z długim ogonem. Nim dotarło do mnie w pełni na co patrzę na plecami cudownej zjawy, poczułem na twarzy tchnienie cuchnącego odoru. Poczułem jak śliskie warkocze pętają moje ciało i zaczynają je ścisnąć niczym potworne węże. Mówią, że w takich chwilach człowiek widzi całe swoje przeszłe życie, ale ja widziałem przyszłe, to, które mi się nie przydarzy. Nie wiem czy jest to regułą, bo nie miałem jeszcze okazji sprawdzić tego ponownie. W tym miejscu pewnie spodziewacie się, że skoro przeżyłem, powiem iż się ocknąłem, a te wszystkie cudowności i okropności przydarzyły mi się we śnie, w majaczeniu, być może pod wpływem porażenia od słońca i gorąca. Tak jednak nie było. Zdarzyło się coś innego, niemniej zdumiewającego. Otóż, tracąc już siły, osuwając się w nieistnienie, przemierzałem to moje przyszłe życie. Usłyszałem z daleka swój własny głos, który wypłakuje żal za nudą. Za założeniem z Anielcią gniazda podobnego do mojego domu rodzinnego. Za popołudniami bez zdarzeń. Za zwykłością wieczorów spędzonych w kojącym spokoju. Za przewidywalnym rytmem zajęć i mijających lat.

Uścisk warkoczy zmałał. Zjawa, teraz widoczna w pełni swojej ohydy, przepęłzła na odległość ramienia i dojrzałem w kąciku jej oczodołu łzę lśniąca piękniej niż wszystkie te kamyki na dnie jeziora. Potwór odwrócił nagle głowę, wydał wściekły syk i poruszając się tak błyskawicznie, że pozostała po nim jedynie smuga smrodu, zniknął. Odzyskałem czucie w ciele, jasność umysłu i udało mi się znaleźć wyjście z podziemi. Przyznaję, że raz czy dwa razy szukałem ponownie ruin, a nawet trafiłem na takie, które pasowały do opisu z opowieści pijaka, ale nic tu nie przypominało mi miejsca, które wtedy odwiedziłem. Możecie więc uznać, że wszystko mi się przyśniło. Nigdy jednak już nie ruszyłem pędzla, bo opanowała mnie obsesja namalowania mojej przygody, co okazało się zupełnie niemożliwe. Pokochałem za to moją zwykłą Anielcię i wiodłem dobre, nudne życie.

► *Opowiadanie inspirowane legendą dotyczącą gminy Brody, gdzie w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku miała miejsce epidemia cholery. Podobno mieszkańcy postanowili żywcem zamknąć w piwnicy zajazdu dziewczynę, aby odegnać nieszczęście.*

Iga Ostrowicka

Miejsce gdzie zniknęły gwiazdy



„MIEJSCE GDZIE ZNIKNEŁY GWIAZDY”

J. OZGA '18

Mamusiu, dlaczego nie masz butów?

Spojrzałam na moje bose stopy i zaśmiałam się nerwowo. Każdego dnia mojej pieszej wędrówki budziły mnie te słowa. Kim była ta dziewczynka i dlaczego nazywała mnie swoją matką – to pozostawało dla mnie tajemnicą. Okryłam się dokładnie kocami. Ucieczka przed ludźmi zaczynała mnie męczyć, jednak ostrzegano mnie przed domostwami. Widzieli nas tym, czym byliśmy, choć tego sami nie zauważaliśmy – złodziejami i głupcami. My upajaliśmy się w naszej wyjątkowości, gdy oni pogardliwie patrzyli na długie suknie, brudne stopy i sznury koralu. Westchnęłam. Wiedziałam, że mój słodki koszmar, jak to pieśczoćliwie zwykłam go nazywać, skutecznie wytrącił mnie ze snu. Spojrzałam na zegarek – powinno już świtać, mimo to niebo wciąż było czarne i bezgwiazdne. Z obawą spojrzałam na resztę chleba, która miała mi wystarczyć aż do Łysej Góry. Wody także nie zostało wiele. Ukryłam rzeczy na drzewie i wykorzystując chwilę ciemności podeszłam bliżej rzeki. Poruszając się na oślep potknęłam się o wystający konar i wpadłam do rzeki.

Lodowata wody otrzeźwiła mnie i wtedy zauważyła, że oprócz wody było tam coś jeszcze.

Tysiące kobiecych ciał, których piękne twarze były wykrzywione straszonymi uśmiechami. Z wody zaczęły wyłaniać się dłonie, które chwyciły moje ubrania.

Wyrwałam się i uciekłam na brzeg. Zrozumiałam, że śnię mój koszmar. Przede mną stała ruda dziewczynka, moja córka ze snu. Patrzyła ze spokojem na trupy marszcząc brwi, jakbym zaskoczył ją swoim zachowaniem. Podeszłam do niej, a jej twarz rozpromienił uśmiech. Chwyciła mnie za rękę i wskazała moim palcem na wodę. Nie poruszyła ustami, jednak wiedziałam co mówi.

„Płyniemy mamusiu, tu wszystkie pływają! Nie obawiaj się”.

Upadłam na kolana i podczołgałam się ostrożnie do brzegu, żeby przyrwać się kobietom. Teraz nie wydawały mi się straszne, lecz smutne. Zniknęły uśmiechy, jednak ich oczy nadal przesuwwały się po mojej twarzy. Trupie opary unosiły się nad wodą, kiedy wpadłam do niej drugi raz. Wrzucona przez małą rudą dziewczynkę, która patrzyła spokojnie jak wciągając mnie do wody. Ramiona oplatały mnie, jednak czułość z jaką to robiły nie pozostawiała złudzeń co do ich zamiarów. Przyjęły mnie do siebie, a ja zastanawiałam się tylko co to oznacza i czy we śnie na pewno nie można umrzeć.

Płynęłyśmy długo, ja i one, bezładna płatanina ciał ciągnięta przez prąd rzeki. Wyrzuciły mnie przy wzgórzu, gdzie ponownie spotkałam dziewczynkę.

Dlaczego się nie bałam? Przecież tylko śniłam. Złapałam wyciągniętą rękę dziewczyny, która pociągnęła mnie na ścieżkę. Na moją Górę! Stojąc przed kamienną ścieżką spojrzała na mnie smutno.

„Mamusi, dlaczego nie masz butów?”

Nie wiedziałam dlaczego. Zaczęłam żałować całej wyprawy, chociaż miesiącami wędrowałam z hipami. Żyłam swoim małym makowym snem. Przeklinałam długą sukienkę, która wplątała się w krzaki, korale, które zaczęły ciążyć mi na szyi. Kamienie kaleczyły bose stopy.

Szłam z córką (tak ją postanowiłam nazywać) i pogrążona we własnych myślach nie zauważyłam kiedy doszłyśmy na sam szczyt góry. Wpadłam na kobietę wykręcającą właśnie wodę z ubrania, takiego jak ja. Zobaczyłam tamte trupy.

Dziewczynka mocniej ścisnęła moją rękę dodając mi otuchy. Wyglądała tak niewinnie wśród tego towarzystwa. Zaprowadziły mnie przed oblicze przystojnego mężczyzny, który stał patrząc w niebo. On również nie używał słów. Przemawiał w myślach jak moja córka.

Jak się później okazało tutaj nikt nie był rozmowna.

Krąg wokół nas zaciskał się zbliżając mnie do mężczyzny.

„Wiesz kim jestem kobieto?”

Wiedziałam, gdy ujrzałam co stało za nim. Zbierało mi się na śmiech, gdy zobaczyłam piekielne stworzenia, małe i czerwone jak w opowiadanych bajkach. Poznałam samego Pana Piekieł. Spojrzał na mnie ze znudzeniem i wyjął coś z kieszeni. Złapałam przedmiot rzucony w moją stronę. Mała klepsydra bez piasku. Czyżby dla nich nie istniał czas? Dlaczego dano mi bezużyteczną klepsydrę?

„Tylko idź”.

Chciałam spytać, lecz mocny cios w głowę pozbawił mnie przytomności. Obudziłam się w mrocznym korytarzu. Wokół istniała tylko czerń. Posadzka na której stałam była gorąca. Po raz kolejny przeklinając brak butów rozpoczęłam moją ślepą wędrówkę.

Znacie teorie o zaburzeniu czasu we śnie? Często mijałam drzwi, jednak każde prowadziły mnie do tych samych pomieszczeń. Sal obfitości z pięknymi łóżkami, nakrytymi stołami, sukniami, prochami i lustrami. Wszystko było oświetlone delikatnym światłem świec ustawionych w pokoju. Wędrowałam od pokoju do pokoju, w końcu jednak straciłam chęć do dalszej wędrówki. Pozostałam w miejscu, w którym miałam wszystko, pogodziłam się z moją pułapką. Dlaczego pewnego dnia podniosłam świecę i podeszłam

blżej luster? Spojrzałam obcej kobiecie w twarz i wtedy zrozumiałam podarunek. Klepsydra przypomniła, że dla tego miejsca czas się zatrzymał, jednak nie dla mnie. Miałam umrzeć w tym miejscu, nie szukając wyjścia? Życ w świecie luksusów, nie myśląc co jest poza nim? Wyszłam z pokoju i natychmiast ogarnęła mnie ciemność. Pokoje nie pozwalały mi wynosić światła, więc opadłam na kolana i zaczęłam dokładnie przeszukiwać ściany i sufit. Poddawanie się jest zapisane w naturze ludzkiej, szczególnie, gdy mamy tak wiele, że nie sięgamy wzrokiem dalej. Naprzeciwko każdych drzwi były drugie, które tylko pozornie z dotyku wydawały się być ścianą. Pchnęłam je mocno i wpadłam w otchłań. Jak długo leciałam? Krótko, ale ludzkie głosy wokół i tysiące klamek zawieszonych w ciemnej przestrzeni uświadomiły mnie ile dusz zatraciło się w tych pomieszczeniach pełnych skarbów. Upadłam w czyjeś ramiona.

Lucyfer przyglądał mi się z ciekawością. Widać nie spodziewał się, że rozgryzłam Jego grę. A ja nie spodziewałam się, że rzuciłam się wprost pod gilotynę. Poszukiwali osoby o silnej woli przetrwania. Jednak do czego – to pytanie nie dawało mi spokoju. Spojrzałam na krąg wokół mnie i spytałam.

Dlaczego wybrałyście mnie?

„Ty wiesz, moja droga. Wciąż jednak nie wiesz dlaczego. Nasz świat został zamknięty, gdy na ostatni sabat wtargnęli ludzie ze swoimi pogańskimi duchami. Żyliśmy w nędzy, ukrywając się całymi dniami, by móc żyć, tak jak i ty. Nie starczyło nam mocy i zostałyśmy zesłane tutaj. To miejsce to luka w czasie. Chcieli zrzucić nas do piekła, choć nie byliśmy złym tworem. Pomyłka bożków zesłała nas tu, tak blisko ziemi, do której nie mieliśmy dostępu i piekła, które dało nam ratunek. Lucyfer pozwolił nam wchodzić w ludzkie sny i kontrolować je. Wszyscy dążymy do fałszywych doznań, marzeń i wyobrażeń, a w tym świecie tylko my wiemy jak te marzenia spełniać. Narkoman to proste narzędzie – wy codziennie śnicie ten sam sen, więc jeden koszmar więcej nie sprawi wam różnicy. Nie boicie się własnego strachu, bo spotykacie się z nim codziennie. Ludzie wyrzucają nas ze snów, lecz wy nie. Kolejny koszmar, prawda? To jednak dość ryzykowane. Widziałaś naszą próbę – niewiele dusz potrafi się wydostać. Ty jesteś pierwszą i ostatnią. Dziś zamykamy krąg. Sabaty na Łysej Górze trwały i trwać będą! Zatańcz z nami do księżyca, do jego magii, pozwól nam odejść z przeklętej ziemi, w której nas zamknęto!”

Jedna z kobiet popchnęła rudą dziewczynkę w moją stronę.

„Zabierzesz ją ze sobą. Nie jest jedną z nas, jak i nie jest jedną z was. Zaopiekuj się nią. Jej życie jest gwarantem Twojego życia. Wasz świat dziś

dobiega końca, ale to wy sami siebie zabijaliście. Dziś zabierzemy jego część, zabezpieczymy ją. Zginą ludzie, więc uciekaj”.

Wtedy chwyciła mnie za włosy i ucięła je blisko skóry. Zdążyłam tylko spojrzeć jak mój warkocz ląduje w ognisku, a płomień zaczyna trawić suknie stojących w kręgu, gdy poczułam jak ziemia umyka mi spod stóp, a dłonie popychają do dziury. Przerażający śmiech czarownic towarzyszył mi, gdy wylądowałam na brzegu rzeki.

Nie pamiętałam wielu dni. Moja córka odnalazła porzucone w lesie rzeczy, zaprowadziła mnie do jaskini, przynosiła pożywienie i wodę. Nie odróżniałam dnia od nocy, świt wciąż nie nadchodził i wiedziałam już czyja to sprawka. Powrót do lasu sprawił, że moje ciało przypomniało sobie o narkotyku. Jakim słabym czyni z siebie człowiek, gdy spróbuje ćpania. Trwałam w półśnie póki nie odzyskałam sił i nie spojrzałam trzeźwo na świat.

Minęły tygodnie, gdy zrozumiałam. Uwolniłam czarownice i wydałam wyrok na ziemię. Mi pozwolą żyć i taka była cena mojej ofiary dla nich.

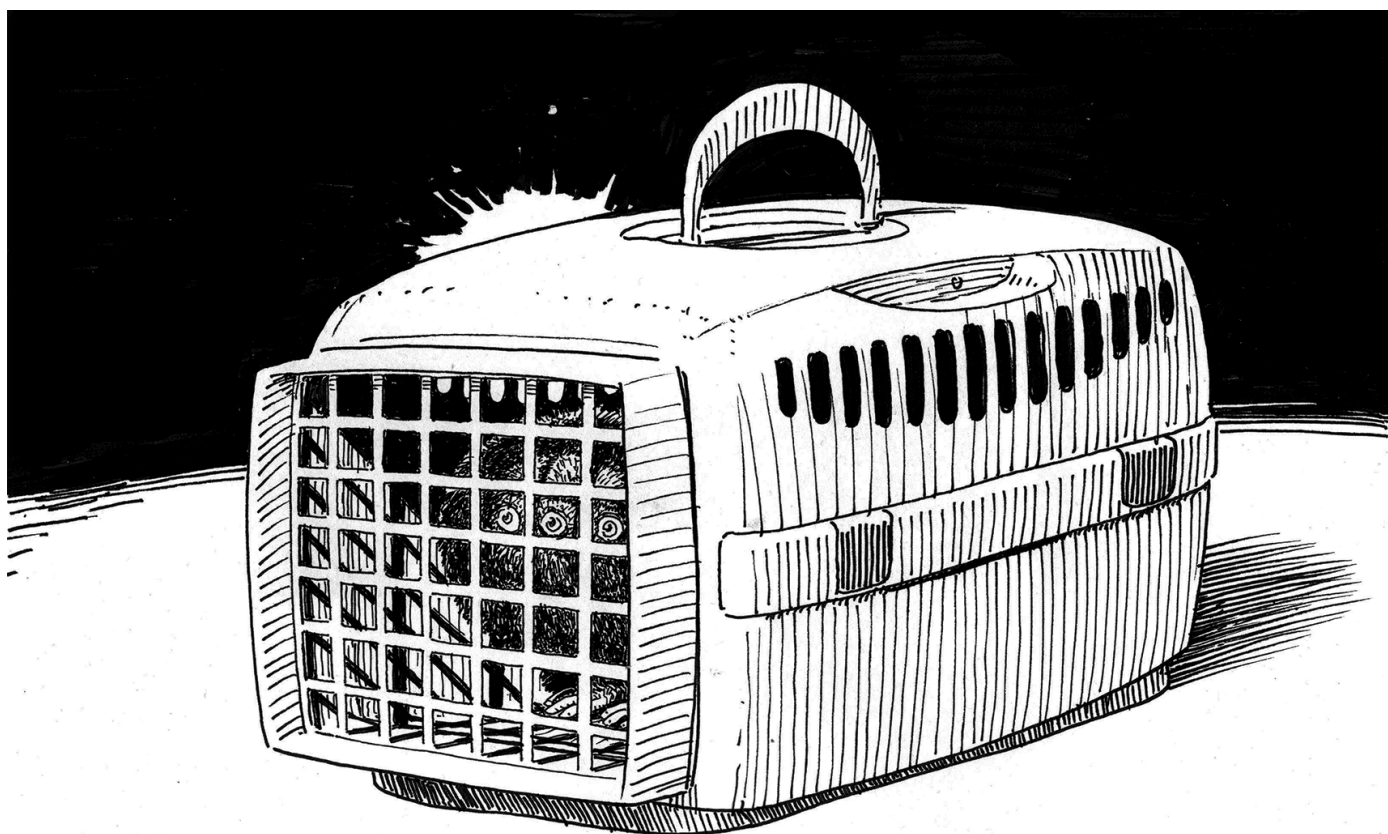
Chciały być wolne, tak jak ja w narkotyku. Kto nie pragnie wolności?

Wyruszyłam w nowy świat, gdzie nie widywano już słońca i gwiazd. Mi-jane puste domy, porzucone rzeczy i dzikie zwierzęta zamykały we mnie uczucia, zostawiając je tylko dla milczącej dziewczynki, która już na zawsze pozostała moją córką.

Nigdy więcej nie śniłam i nie widziałam gwiazd.

Paweł Sołtysiak

Składnik



Pan Zhizao Chen był moim odwiecznym konkurentem. Może nie odwiecznym, ale „od-kilkudziesięcioletnim”, od kiedy przyjechał z Chin, osiadł w Kielcach i otworzył swój gabinet zielarski dwie przecznice od mojego. Moje zioła i eliksiry na szczęście nadal były chętnie kupowane. Miałbym jednak o wiele więcej pieniędzy, gdyby nie jego „Świat chińskich ziół”.

Rozumie się, że nie utrzymywaliśmy żadnych kontaktów. Bardzo zdziwił mnie więc list od pana Zhizao, w którym wyjawiał, że jest u schyłku życia i prosił mnie o spotkanie. Faktycznie wyglądał na stuletniego staruszka już wtedy, gdy przyjechał do Kielc. Miejsce spotkania wyznaczył niecodzienne – rezerwat geologiczny na Kadzielni, porę – jeszcze dziwniejszą – 2:30 w nocy w środku tygodnia.

Poszedłem do jego sklepu-gabinetu, by zaproponować coś zwykleszego, ale był zamknięty na cztery spusty. Zadzwoiłem parę razy na numer podany na szybie, ale nie nikt odbierał.

Zaciekawiony i zaniepokojony postanowiłem udać się na to spotkanie. Choć nie powinienem tego robić, zdecydowałem, że wezmę ze sobą mój pistolet – zezwolenie uprawniało mnie jedynie do trzymania go w sklepie, nie do noszenia.

Była ciepła czerwcową noc. Pan Zhizao stał w umówionym miejscu. Miał długą siwą brodę, był wysoki i chudy jak szczapa. Na ramieniu miał torbę z chińskimi znakami, a u jego stóp stał spory pojemnik transportowy na koty. Podeszedłem rozglądając się bacznie.

– Niech pan pokaże ręce – wypalił Chen na powitanie.

Zaskoczył mnie tym żądaniem.

– Świetnie mówi pan po polsku – odpowiedziałem po chwili.

– Ręce!

Z oporem wyciągnąłem przed siebie jedną rękę. Zhizao uchwycił moją dłoń, obrócił i obejrzał od góry i od dołu, podciągnął nawet rękaw mojej koszuli.

– Druga.

Drugą zlustrował podobnie.

– Tu jest skaleczenie – stwierdził i trzymając nadal moją rękę, zaczął grzebać w swojej torbie.

– Szatkowałem aloes i... coś pan, na głowę upadł?

Chińczyk właśnie zamierzał przyłożyć mi na ranę płat kapusty.

– Kapusta, dobra na skaleczenia – powiedział Chen.

– Wiem, prowadzę sklep zielarski. Ale to nie znaczy, że we wszystko wierzę – odrzekłem.

– To dobrze, ja też. Ale musimy coś nałożyć na ranę, by Yi Lu jej nie wycazuło. Yi Lu nie lubi skaleczeń.

– Tu ma pan to Yi Lu? – wskazałem na kociarkę.

– Już nie. Chodźmy.

Po chwili stanęliśmy przed zamkniętym wejściem do jaskini. Pan Zhizao zaczął majstrować przy kłodce.

– Yi Lu to nazwa gatunku, nie imię. Przemyciłem je z Chin – wyjaśniał zmagając się z kłodką. – Większość moich wywarów praktycznie nie działa – poza jednym.

Jarzmo kłodki odskoczyło i Chen otworzył drzwi. Z niepokojem zauważyłem, że w ręku miał wytrych – nie klucz. Zhizao pogrzebał w torbie i wyjął dwie latarki. Wręczył mi jedną i wszedł do jaskini.

– Panie Zhizao, tak nie można. Pan się tu włamał – półgłosem zawołałem do wnętrza.

– Cśśś! Spłoszy pan Yi Lu! Niech pan wchodzi.

Lekko rozdarty pomiędzy oburzeniem a zaciekawieniem wszedłem jednak do jaskini. Dla uspienia poczucia winy stwierdziłem, że muszę przypilnować, by pan Chen nie zniszczył cennego obiektu geologicznego.

Moim oczom ukazał się skalny korytarz. W świetle latarki widziałem tylko najbliższe metry. Poczułem się jak w przetyku bestii.

Doszedłem do pana Chena, który stanął przy niewielkiej niszy. Oświeślał coś, co wyglądało jak włochata idealna połowa kuli. Dziwne ślepie miało tuż nad ziemią. Półkula stała na kilkadziesiąt małych nóżkach.

– To starożytne zwierzę, bardzo rzadkie.

Chen znów sięgnął do swojej torby i szybkim gestem położył przed Yi Lu sporą garść różnych roślin. Jeszcze szybciej cofnął rękę.

– Zwierzę może chińskie, ale widzę, że będzie wsuwało nasze polskie zioła – stwierdziłem. – To skrzyp, nagietek i dziurawiec?

– Trzeba je co dwa dni dokarmiać, bo...

Czekałem na dalszy ciąg, ale Chińczyk zamilkł. Półkuliste zwierzę weszło łapkami na zioła i usłyszeliśmy odgłos chrupania. Paszczę najwyraźniej miało od spodu.

– Nie prościej trzymać je w domu? – zapytałem wreszcie.

– Właśnie przewiozłem je z Wietrzni.

– Tam też jest rezerwat geologiczny i jaskinia – zrozumiałem. – Ono musi żyć w jaskini? Jak nietoperze?

– Dodatkowo trzeba je przewozić pomiędzy jaskiniami, by... by... by nie zostało odkryte, i... i... zabite w celach naukowych – całe uzasadnienie powiedział niepewnie, jakby ukrywał najważniejszy powód. Na razie postanowiłem nie drążyć tego tematu.

– Mogę je pogłodzić? Wygląda milusio – rzekłem wyciągając rękę.

– Nie! – gwałtownie szepnął Zhizao i chwycił moją dłoń. – A szczególnie nieskaleczoną ręką!

Yi Lu jakby czknęło i przebierając łapkami odeszło kawałek.

I zrobiło kupę.

A potem ruszyło w ciemność jaskini.

Pan Chen wyciągnął ze swojej torby pojemniczek z łopateczką. Nachylił się i zebrał do niego odchody. Patrzyłem na to z odrazą.

– Niech pan nie mówi, że to składnik jakiejś pańskiej mikstury leczniczej.

– Jedynej, która działa. I bardzo drogiej.

– Bardzo drogiej?

Pan Chen z powagą pokiwał głową.

– Teraz niech pan już idzie, już, już – popędził mnie gestem. – Niech pan przyjdzie za pięć dni do mojego gabinetu.

– Sklepiku – mruknąłem odchodząc.

Zhizao wystawił głowę na ulicę przez lekko uchylone drzwi. Spojrzał w jedną stronę, w drugą, wreszcie na mnie.

– Zapraszam – rzekł wcale nie uchylając bardziej drzwi. Musiałem się precyzyjnie przemieszczać pomiędzy nim a framugą.

I wreszcie ukazał się mi oczom „Świat chińskich ziół”. Niskie wnętrze wypełniała swego rodzaju mgła, zapewne o odpowiedniej mistycznej nazwie. Dzięki niej wszystko wyglądało na lekko rozmazane. Na środku pomieszczenia było kilka samoobsługowych regalików z flakonikami wypełnionymi płynami, granulatami i proszkami w przeróżnych barwach. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające różne dziwne stworzenia podpisane chińskimi ideogramami. Z tyłu zaś była lada, a za nią długi regał. Na nim wśród mniejszych flakoników wyróżniało się kilka dużych słoików. W jednym z nich, zapewne w formalinie, zanurzono dziwną rybę z pięciorgiem oczu i rączkami, w innym – gerberę z zębami, jeszcze w innym – głowę dzika z wielkimi kłami.

Pan Chen stał przy drzwiach i minimalnie odchylając roletę łapał na ulicę.

– Bardzo mi się podoba pańska teatralizacja wnętrza. Szczególnie te kły dzika – czyli po staropolsku „kielce” dzika. Uroczy rekwizyt. Ładnie z pańskiej strony, że nawiązał pan do legendy o założeniu naszego miasta.

– Prawda? – rzekł z dumą, jednak nie przerywając obserwacji. – Zaraz do pana idę. Mam kilka namolnych klientek, których muszę się wystrzegać.

Przyjrzałem się etykietom specyfików. Na przykład Danxiao zawierało Minzhu oraz sproszkowane żebro nosorożca włochatego. W Nanbian było Ruanjian oraz kenozoiczne formy kresowe.

– Panie Zhizao, w moim sklepie we flakoniku z aloesem jest aloes – rzekłem z niesmakiem. – A pan bezczelnie wpisuje do składu znaleziska geologiczne z Kadzielni.

– Klienci lubią naukowe nazwy, weźmy koenzym Q10 w kosmetykach.

– No tak, ale...

– Poza tym tam, gdzie to napisałem, tam naprawdę jest szczypta danego zwierzęcia z plejstocenu czy prehistorycznej skały. Kupiłem od skorumpowanego geologa – stwierdził, po czym jeszcze raz rzucił okiem na ulicę i ruszył w moją stronę.

– Pewnie sprzedał panu żeberka ze sklepu mięsnego, a nie z plejstocenu – rzekłem zgryźliwie.

Chen stanął przede mną.

– Panie Emilu – powiedział poważnie – niedługo umrę. Czy może pan od dziś karmić Yi Lu?

Zaskoczyła mnie ta nagła zmiana tematu.

– Jest pan pewien? – zapytałem po chwili z lekka oszołomiony.

– Tak. Chcę, by to pan się nim zajmował. Nie mam rodziny ani przyjaciół.

– Ale ja nie to... – spróbowałem wtrącić.

– Dam też panu moją księgę ze starożytnymi recepturami.

– To miłe, lecz...

– Oczywiście wskażę panu tę jedyną, która działa. Wszystkich klientów skieruję do pana. Będzie pan bogaty.

– Miałem na myśli: czy to pewne, że pan umrze? – wreszcie udało mi się dojść do głosu.

Pan Zhizao spojrzał na mnie uważnie.

– Tak – odrzekł.

– Nic się nie da zrobić? Może mogę jakoś pomóc?

– Żadna z pańskich mikstur nie pomoże. Moje oczywiście też nie.

– A prawdziwe leki? Te przebadane naukowo?

Chen pokręcił głową. Zamilkliśmy obaj na dłuższą chwilę.

– Yi Lu nie jadło od trzech dni – powiedział. – Byłem w szpitalu.

Nie potrafiłem znaleźć słów, by odpowiedzieć na wiadomość o bliskiej śmierci pana Chena.

– Na szczęście mamy parę tygodni – powiedział i pociągnął mnie za kurtkę. – Wyjaśnię panu wszystko po kolei.

Z jednej z szuflad wystawił na blat pojemnik z odchodami Yi Lu i kilka fiolek podpisanych chińskimi ideogramami. Obok nich położył dwa zdjęcia. Na obu była ta sama kobieta – tak samo ubrana stała w sklepiku pana Chena; ale: na jednym wyglądała na pięćdziesięciolatkę, na drugim – na dwudziestopięciolatkę.

– Odmładzanie jest u mnie bardzo drogie – powiedział Zhizao. – Trzeba brać specyfik co miesiąc przez cztery lata. Na szczęście klientki są uzależnione.

– Jakies narkotyki pan tu sprzedaje? Wychodzę i idę na policję – stwierdziłem z odrazą.

– To uzależnienie psychiczne.

– A jak ich już nie stać na ten pański odmładzający proszek, to musi się pan ich wystrzegać? Może niech pan założy gang, to one pana będą się bać...

Łomot do drzwi wejściowych przerwał moją oburzoną przemowę.

– Otwieraj draniu! Wiem, że tam jesteś! – słychać było męski głos.

– Niech pan stanie tu za kotarą – rzekł Chen wpychając mnie za nią. – To na pewno mąż jednej z klientek.

– Lepiej niech pan wystąpi o pozwolenie na broń, jak ja. Prowadzenie sklepu zielarskiego jest niebezpieczne – mruknąłem za nim.

Usłyszałem chrobot otwieranych drzwi.

– Co zrobiłeś mojej żonie? – huknął mężczyzna.

– Spokojnie! Nazwisko klientki?

– Adamicka – odparł mężczyzna i ryknął – To nie ma nic do rzeczy!

– A, wiem: nie stać już państwa na mój preparat odmładzający. Proszę wyjść.

Ostrożnie wyjrzałem zza kotary. Pod drzwiami zobaczyłem tysego kurdupla, chyba ze stuletniego. Facet właśnie strząsał z siebie rękę pana Zhizao, którą Chińczyk delikatnie próbował go wypchnąć ze sklepu.

– Moja żona co noc zmienia się w jakiegoś potwora!

– Nie powinni państwo rozpoczynać kuracji. Uprzedzałem, ile to będzie kosztować. To nie darmowa przychodnia – odpowiedział spokojnie Chen.

– Wieczorem rosną jej jakieś łuski, a potem wychodzi na pół

nocy! – gorączkował się kurdupel.

– Oj, niedobrze – zmartwił się Zhizao.

– O, tam – kurdupel pokazał ręką na jeden z obrazów na ścianie – tak właśnie wyglądała.

Zerknąłem: obraz przedstawiał dwunożną postać o kobiecych kształtach, lecz z łuskami zamiast skóry i czaszką jak u jaszczurki.

– Ostatnio zaczęła wracać zakrwawiona, jakby kogoś zamordowała – z wściekłością krzyknął kurdupel.

Spojrzałem raz jeszcze: szpony, kolce i zębiska – to na pewno drapieżnik.

– Fatalnie. To efekt przerwania terapii – rzekł stropiony Chen. – Niezwykle rzadki. Niech pan jutro przyjdzie z żoną.

– Miała być piękna i młoda! – wrzasnął mąż potwora. – Trzeba się było rozwieść a nie inwestować w to stare próchno! Ale z tym koniec, rozumiesz? Kończę tę sprawę raz na zawsze.

– Niech pan przestanie. W piękność jej nie zmienimy, ale ją wyleczymy.

– Teraz to ja cię zmienię w nieboszczyka! – wrzasnął kurdupel i zaczął grzebać sobie za paskiem z przodu.

– Proszę wrócić jutro z żoną – Chińczyk wskazał palcem na drzwi.

I wtedy kurdupel wyciągnął rewolwer i strzelił.

– A masz, łobuzie, a masz – charczał pomiędzy kolejnymi wystrzałami. Po chwili było już słychać tylko głucho trzaski – skończyła się amunicja, ale kurdupel nadal naciskał na spust.

Pan Zhizao wyglądał na zaskoczonego i zasmuconego. Na jego torsie rosła czerwona plama.

– A masz! – wrzasnął kurdupel po raz ostatni i wybiegł zatraskując za sobą drzwi.

Stałem oniemiały. Pan Zhizao zwałił się na kolana. Wyglądał jakby się modlił. Po chwili przewrócił się na podłogę.

Podbiegłem do niego, przyklęknąłem. Jeszcze tliła się w nim resztką życia.

– Niech... – wystękał – pan... ucieka.

– Wezwę pogotowie!

Chińczyk uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Ma pan rację – stwierdziłem. – Jeśli tu zostanę, to mnie aresztują. Miną tygodnie, zanim policja robi badania DNA, analizy śladów – i uwierzy w moje zeznania. W tym czasie biedne Yi Lu na Kadzielni umrze z głodu...

Pan Zhizao zastygł – zdałem sobie sprawę, że właśnie odszedł. Chciało mi się płakać. Skryłem twarz w dłoniach.

Po chwili usłyszałem ryk syreny policyjnej. Otrząsnąłem się i rozejrzałem po sklepie: musiałem zabrać stąd parę rzeczy.

Zgodnie z moim planem dotarłem na Kadzielnę późno w nocy. Miałem ze sobą kociarkę pana Zhizao i jego torbę z ziołami. Przestraszyłem się, gdy na parkingu zobaczyłem kilka radiowozów – czyżby to była obława na mnie?

Jedno miejsce było jasno oświetlone specjalnymi lampami, otoczone taśmą z napisem „Policja” i kręciło się tam kilku ludzi – pewnie miejsce zbrodni. Sprawa więc raczej nie dotyczyła mnie. Na wszelki wypadek starałem się minąć je szerokim łukiem.

– Nocny spacer, obywatelu? – zagrzmiął głos obok mnie.

– Eee... tak, tak. Co tu się stało?

Policjant zlustrował mnie od stóp do głów.

– Śledztwo trwa – odrzekł surowo i dorzucił – Znam pana! Kupowałem u pana w sklepie aloes dla żony.

– Zadziałał? – spytałem z rezygnacją, przekonany, że zaraz mnie zaarrestuje.

– Nie bardzo. Proszę uważać podczas spaceru, tu może grasować morderca.

– Dziękuję, będę ostrożny – odetchnąłem z ulgą.

– To chyba kanibal – rzekł policjant. – Znalezliśmy tylko tułów ofiary.

– O, to dziwne – odpowiedziałem spokojnie, mimo, że tak bardzo chciałem już iść.

– Gdyby pan się natknął na odcięte ludzkie ręce, nogi albo głowę, niech pan da znać – dodał, zsalutował i oddalił się.

A ja pomyślałem smętnie, że muszę włamać się do chronionej prawem jaskini pod nosem ekipy śledczej. Ale, uzasadniałem w duchu idąc dalej, muszę uratować Yi Lu. I ono musi uratować mnie: gdy zgłoszę się na policję, muszę je pokazać, by udowodnić moje zeznania; w końcu byłem świadkiem zamordowania pana Chena.

Promień latarki ukazywał korytarz jaskini. Na środku leżała ludzka czaszka ze strzępami skóry i fragmentem kobiecej twarzy z jednym okiem. Obok była częściowo zjedzona ludzka ręka.

Oparłem się ramieniem o skalną ścianę i dyszałem. Zaczęła wzbierać we mnie wściekłość. Zhizao nie ostrzegł mnie przed Yi Lu. Nie lubi skaleczeń?

Lubi rany szarpane. Mój wzrok padł na szczątki kobiety. Taki drapieżnik w centrum Kielc!

Rzuciłem kociarkę na ziemię aż huknęła. Zastrzeleń je, gdy tylko się pokaże, postanowiłem. Poprawiłem torbę z ziołami, wyciągnąłem pistolet i ruszyłem dalej.

Dotarłem do niszy, w której ostatnio pomieszkiwało Yi Lu. Zastałem je wciśnięte w kącik, z zamkniętymi oczami i drżące jak liść.

Nie tego się spodziewałem. Wyglądało... tak bardzo bezradnie. Nie jak zabójczy potwór. Nie chciałem przeprowadzać egzekucji. Pewnie udaje, zaraz rzuci mi się do szyi – wytłumaczyłem sobie.

– No już, pokaż te swoje kły – rzuciłem i wycelowałem w zwierzę.

Na dźwięk mojego głosu Yi Lu otworzyło oczy i popatrzyło na mnie niepewnie. Chyba mnie poznało, bo przestało drżeć. Wyszło na środek niszy i spojrzało mi w oczy tak obojętnie, że opuściłem pistolet. Stworzenie stanęło na kilkunastu tylnych łapkach i zaprezentowało swoją spodnią, płaską część ciała z paszczą. Teraz z tej paszczy był wywalony język – Yi Lu wyglądało jak cieszący się psiak. Serce mi zmiękło.

– Nikt ci nie dał jedzenia przez parę dni? Toś sobie poradziło polując na turystkę?

Sięgnąłem do torby po zioła i syknąłem z bólu. Wyjąłem rękę, obejrzałem dłoń – z lekkiego skaleczenia spływała kropelka krwi. Pewnie któraś z łodyg rozciąła mi skórę.

Zerknąłem na Yi Lu. Stało już normalnie. Patrzyło na mnie nie dwójkiem a ośmiorgiem oczu. I patrzyło z wyraźnym zainteresowaniem. Przestraszyłem się tego ośmiokrotnego spojrzenia. Ponownie wymierzyłem w zwierzę i szybko sięgnąłem do innej kieszeni torby. Wyciągnąłem liść kapusty i przy pomocy zębów umieściłem na skaleczeniu. Zobaczyłem, że sześć oczu Yi Lu zamyka się. Pozostałych dwoje znów patrzyło na mnie urocz.

– Siad! – wyrwało mi się.

Yi Lu podkuczyło łapki od strony zadka – czyli po przeciwnej do oczu – i usiadło. To mnie zaskoczyło. Zwierzątko patrzyło na mnie bacznie swoimi pięknymi oczyskami. Zrozumiałem, że czeka na kolejne polecenie. Pomyślałem chwilę.

– Idziemy! – machnąłem ręką, pokazując w stronę wyjścia.

Yi Lu wstało i grzecznie podreptało we wskazaną stronę. Ruszyłem o parę metrów za nim. W pewnym momencie stworzenie zatrzymało się przy skalnej ścianie. Gdy tam dotarłem, zobaczyłem, że stoi obok nadgryzionej ludzkiej nogi w szpilkach. Nie zauważyłem jej poprzednio.

– Nie ruszaj! Zostaw panią! Idziemy.

Yi Lu westchnęło i ruszyło dalej. Doszliśmy do miejsca, w którym zostawiłem kociarkę. Zwierzę zainteresowało się urwaną ręką. Otworzyłem transporter i wrzuciłem tam kilka garści ziół.

– Do środka! – zakomenderowałem.

Yi Lu spojrzało na mnie.

I zrobiło kupę.

Po czym grzecznie weszło do środka i od razu zaczęło chrupać zioła.

Popatrzyłem na drogocenne odchody zwierzęcia i pokręciłem głową.

– O, nie! Nie pozwolę, by jakiś koncern kosmetyczny zmuszał cię do robienia tony kupy dziennie.

Uniosłem kociarkę na wysokość oczu i przyglądałem się przez chwilę radośnie zajądającemu się Yi Lu.

– Wiem! Wypuszczę cię w Górach Świętokrzyskich, w pobliżu któregoś z klasztorów. Może jacyś zakonnicy zgodzą się wykładać zioła dla ciebie, byś nie musiało zżerać turystów.

Yi Lu pisnęło. Uznałem to za zgodę i ruszyłem do wyjścia z jaskini niosąc kociarkę pod pachą.

– Spróbujemy na Świętym Krzyżu, potem w Chęcinach albo w Opatowie. A jak nie – to gdzie indziej. Na pewno ktoś się znajdzie.

Zatrzymałem się przed drzwiami zamykającymi jaskinię i nachyliłem się do transportera.

– Ale będziesz mnie pamiętało?

Z wnętrza popatrzyły na mnie ufne oczy Yi Lu. Westchnąłem i wyszedłem z jaskini. Na zewnątrz wschodzące słońce oświetlało delikatnie piękne skały Kadzielni.

Erwin Stabrowski

Wszczep niezawodny



„WSZCZEP NIEZAWODNY”

7.02GA'18

Moje oczy oślepiło rażące światło. Gdzie ja jestem? Co się dzieje? Leżąc na plecach, wzrok miałem skierowany w sufit. Rozejrzałem się dookoła nie wstając. Po prawej był stolik na kółkach ze stali. Na jego blacie była miseczka i narzędzia. Wszystkie sterylne i srebrne. Obok nich bandaże. W tym momencie uświadomiłem sobie, że to skalpele, a ja znajduję się na stole operacyjnym. Odwróciłem głowę w drugą stronę. Zobaczyłem robota medycznego. Wyglądał upiornie! Na szczęście był nieaktywny. Usiadłem, doznałem szoku! Spojrzałem w dół. Co się stało z moją lewą ręką?! Zrobiło mi się słabo. Nie była obandażowana, jedyne co zauważyłem to zacisk w okolicy łokcia. Widziałem wystającą kość przedramienia. – Co jest?! – Moje ubranie było także poszarpane. – Czemu nie mam ręki?! – Byłem przerażony tym widokiem. Zaskoczyło mnie jednak, że z otwartej rany nie lała się krew. Po chwili, która trwała wieczność, usłyszałem za swoimi plecami odgłos otwieranych drzwi. Chciałem się odwrócić, ale ciągle siedziałem jak sparaliżowany, spoglądając na pozostały fragment ręki. Obok mnie stanął wysoki facet. Z przerażeniem popatrzyłem na niego pytająco. Ubrany był w lekarski kitel. Tabliczka na jego piersi zdradziła mi, że to dr Flincz. Jednak jego kamienna smukła twarz skojarzyła mi się szybko z nazistowskim „doktorem” Mengele!

– Witam, nazywam się Malkolm Flincz. Miał pan wypadek, na skutek którego stracił pan lewą część przedramienia. Aktualnie nie czuje pan bólu, ponieważ został podany środek znieczulający. Aby przeprowadzić dalszą część zabiegu muszę zadać kilka pytań. – Jego głos był bez emocji, jakby taki widok był dla niego codziennością! Może jest. W mojej głowie rodziło się mnóstwo pytań, jednak milczałem, czekając na dalszy tok wydarzeń.

– Czy nazywa się pan Ibrahim Melard?

– T...tak – odpowiedziałem, dość intuicyjnie, nie będąc do końca pewny. Może to z powodu szoku.

– Czy posiada pan wszczep komunikacyjno-rozrywkowy?

– Tak – odpowiedziałem teraz już pewniej.

– Czy pamięta pan jaki typ?

– Body-five.

– Dobrze. Czy chce pan odpowiednio skorygowaną protezę, współpracującą ze wszczepem Body-five?

– A co z moją ręką? Gdzie ona jest?! Co się stało?! Nic nie pamiętam! – krzyknąłem ze ściśniętym gardłem.

– Proszę się uspokoić, panie Ibrahimie! Po operacji dowie się pan wszystkiego.

– Nie wyrażam zgody na tą operację! Czy pan mnie rozumie?! Gdzie jest moje przedramię?!

– Bardzo mi przykro, ale pańska ręka została zatrzymana przez służby, prowadzące dochodzenie w sprawie incydentu, którego jest pan ofiarą.

– Jaką ofiarą?!

– Mogę panu zaproponować pięć różnych protez firmy Technology of Life Corporation. – zignorował moje pytanie i kontynuował swój monolog, wbijając we mnie swoje lodowate spojrzenie. – Każda z nich ma różną cenę. Najtańsza kosztuje dziesięć tysięcy pięćset. Posiada tylko jedną funkcję. Jest połączona z Body-five, co umożliwia posługiwanie się nią, jak ręką. Oczywiście jeśli będzie pan chciał wersję, która posiada więcej funkcji, jej cena się zmieni.

– O czym pan mówi?! Nic z tego nie rozumiem! Proszę o kontakt z moim osobistym lekarzem!

– Panie Ibrahimie, proszę współpracować! Wszystkiego dowie się pan po operacji.

– Czym charakteryzuje się najdroższy model? – Rozpocząłem dziwną grę z doktorem.

– Najlepsza proteza kosztuje sto...

– Mam pieniądze! – Nawet ja usłyszałem w swoim głosie przerażenie. Chciałem być już po operacji. Miałem wrażenie, że ten sadysta przedłużał rozmowę w nieskończoność.

– Najnowszy model posiada zabudowane przyrządy codziennego użytku, projektor hologramowy, bank pamięci, rozszczepialne palce...

– Ile ma tych funkcji?!

– Dokładnie sześćdziesiąt cztery. – Nie miałem ochoty słuchać tego dalej. Więc zdecydowałem się szybko.

– Poproszę ten model.

– Dobrze a jaki wzór pan sobie życzy? Grafenowy, syntetyczna skóra, stal, przezroczysty wzmocniony plastik...

– Syntetyczna skóra! – Wybrałem natychmiast. – I nie zadawaj więcej pytań ty sadysto! Nie widzisz, że cierpię?! – Dodałem cały w nerwach.

– Zanim wykonam operację czuję się w obowiązku poinformować, że kwota którą musi pan zapłacić to dwieście pięćdziesiąt osiem tysięcy.

– Zaraz zbliżę kasownik do pana wszczepu by przelać należytą kwotę na konto szpitala. – Transakcja została wykonana. Ten, który podawał się za lekarza błyskawicznie zrobił mi zastrzyk w prawą rękę. Zrobiło mi się ciepło.

Leżałem, czekając na to, aż zasnę, po podaniu leku usypiającego. Doktor wyszedł na chwilę. Po krótkim czasie, wrócił ze specjalną maszyną, w której znajdowała się proteza. Chciałem lekko obrócić się w jej stronę, by ją zobaczyć. Nie mogłem się ruszyć. – Czemu jestem sparaliżowany?! – pomyślałem, bowiem moje usta były również sparaliżowane.

– Spokojnie, nie jestem lekarzem. – Powiedział swym chłodnym jak lód głosem Malkolm. – Pewnie zastanawiasz się kim jestem i co robię w medycznym przebraniu? – Mówił do mnie.

– Już ci wyjaśniam! Jestem hakerem, a do twojego wszczepu został wprowadzony wirus. Wszystko po to, aby wyłudzić od ciebie pieniądze. W rzeczywistości leżysz teraz w swoim łóżku. Jednak to ja kontroluje twoje ciało i umysł. Obudzisz się wtedy, mój Ibrahimie, kiedy ja o tym zdecyduję. Wiesz, zazwyczaj po przelewie budzę swoich „podopiecznych”. – Ohydnie zaśmiał się pod nosem. Jego twarz, którą widziałem kątem oka, nie zmieniała się. Musiał mieć rację, że to tylko projekcja w mojej głowie. – Jednak ty nie byłeś dla mnie miły. Nazwałeś mnie sadystą! Nie lubię, gdy ktoś mnie tak nazywa! – Głos mojego oprawcy podniósł się o parę tonów. – To mnie denerwuje! I wiesz co teraz zrobię? – Miałem wrażenie że się uśmiecha. „Lekarz” zniknął z mojego pola widzenia. Nagle usłyszałem stukanie metalowych narzędzi o blat z chirurgicznej stali. – Zabawię się z tobą, abyś nigdy więcej nie nazwał mnie sadystą. Początkowo sprawię byś czuł ból. – Moja lewa ręka! Czułem, jakby ktoś za nią ciągnął z niewyobrażalną siłą jednocześnie podpalając ją. Chciałem krzyczeć jednak nie mogłem nawet mrugnąć. Z moich oczu, bezwiednie, popłynęły łzy.

– Widzisz, tak boli jak stracisz rękę. Może teraz wydtubię ci oczy skalpelem...

Obudziłem się, podskakując jak rażony prądem. Byłem cały spocony. Lewą ręką odwinąłem satynową pościel i usiadłem na skraju łóżka. – Nienawidzę koszmarów. – Pomyślałem, uspokajając się. – Który dzisiaj? – Zapytałem Body-five w swoim umyśle. Dziesiąty czerwca dwa tysiące siedemdziesiąty czwarty rok, godzina trzecia jedenaście. – Stan konta? – Trzydzieści pięć milionów siedemset czterdzieści jeden tysięcy. – Ostatni przelew? – Dziesiąty czerwca dwa tysiące siedemdziesiąty czwarty rok, godzina trzecia trzy. Na konto: Szpital Kielecki św. Aleksandra. – Przecież ten szpital został zburzony dwadzieścia lat temu, aby na jego miejscu mógł powstać nowoczesny obiekt medyczny! – Przelew na rzecz szpitala, za leczenie, w wysokości dwieście pięćdziesiąt osiem tysięcy nie był nocnym koszmarem. Jak to możliwe?! Co teraz robić?

Krzysztof Szkurłatowski

Łysiec-Saragossa



„ŁYSIEC SARAGOSSA”

J. OZGA '18

Gdybyśmy jednak nie ruszyli się z naszego łyśca, gdym tak bardzo nie naga-
bywał brata Gregoriusa, gdyby opat nie wyraził zgody na naszą peregryna-
cję, gdyby jej celem nie była Ziemia Święta... Gdyby w podróży powrotnej nie
rozpętał się nagły, długotrwały sztorm i nie połamał masztów statku, gdyby
kapryśne prądy morskie nie poniosły nas, bezsilnych rozbitków, ku iberyj-
skiemu wybrzeżu... Gdybyśmy z Walencji, gdzie wreszcie dotarliśmy do lądu,
ruszyli najkrótszą drogą do tak przyjaznej nam ziemi świętokrzyskiej, gdy-
byśmy zamiast do Saragossy, trafili do Barcelony... Gdybyśmy, szukając noc-
legu, trafili do zwykłej gospody, a nie pod dach tego starego Maura. Gdybym
kilka lat wcześniej, w klasztorным skryptorium nie zaraził się miłością do
ksiąg, gdybym później nie uległ tej namiętności... Wszystko potoczyłoby się
inaczej. Może... Wszelako, potoczyło się właśnie tak. Maurowie powiedzieliby
pewnie – *ma sha'a allah*. Ja jednak nie jestem pewien, czy tego właśnie chciał
Bóg. Czy to właśnie Bóg tego chciał? Nie wiem...

Kiedyśmy już dokonali ablucji, uprali powalane pyłem czarne habity
i posilili się, Alabid Alkutub, który zaoferował nam gościnę, zaprowadził nas
do niewielkiej komnaty bez okien. Pachniało w niej kurzem, drewnem i do-
brze wyprawioną skórą. Kiedy gospodarz podpalił knoty kilku lamp oliw-
nych rozstawionych w różnych częściach pomieszczenia, oniemieliśmy. Na
półkach trzech dużych armariów stały pergaminowe cuda. Naszym oczom
ukazały się prawdziwe skarby! Brat Gregorius wyciągnął drżącą z emocji
rękę ku jednemu z tomów leżących na pulpicie. Nim jednak dotknął jego
oprawy, spojrzał pytająco ku naszemu gospodarzowi. Ten zaś przyzwala-
jąco skinął głową. Uśmiechał się z nieskrywanym zadowoleniem, widząc
zachwyt benedyktyńskich mnichów. Wstrzymując oddech, mój towarzysz
rozchylił okładki książki, którą już kiedyś widział. Przed laty, kiedy spędził
prawie rok u braci w regule, na szczycie Monte Cassino, poznał tę księgę
i tam stała się jego ulubioną. To pod jej wrażeniem został najpierw skrybą,
a potem librariusem. Korzystał skwapliwie z zaleceń jej autora, Humberta
de Romans, kiedy rozwijał bibliotekę w klasztorze, ufundowanym niegdyś
przez księcia Bolesława na szczycie Łysej Góry. Latami wzbogacając jej księ-
gozbiór, nadal kierował się bezcennymi radami z *De vita regulari*. To dzięki
wiedzy z tej lektury zabezpieczył bibliotekę potężnymi wrotami z ciężką
sztabą. Dębowe drewno drzwi okuto pasami żelaza. Z tego metalu wyko-
nano też grube kraty w nielicznych i malutkich oknach biblioteki. Dodat-
kowo chroniły je zamykane do wewnątrz masywne okiennice. Tak nauczył
go chronić czytelniczne skarby brat Humbert, generał zgromadzenia Psów

Pańskich. I oto, po latach, Gregorius znów trzymał w dłoniach ten wspinały tom.

Alabid towarzyszył naszym westchnieniom i okrzykom zdumienia przez dłuższy czas. Potem musiał udać się do innych obowiązków. Opuszczając komnatę przeproszał nas wielokrotnie, życzył wielu odkryć, udanych studiów i zaprosił na wieczerzę. A wszystko to przekazał w niemal nienagannej łacinie. Bez wątpienia był starannie wykształcony, ale też zadziwiająco ufny. Na jego miejscu raczej nie zostawiłbym bez nadzoru obcych ludzi, w dodatku wyznających inną wiarę, z takim skarbem. Pożegnania słuchaliśmy dość nieuważnie, bowiem księgi pochłonęły nas bez reszty. Czegóż tam nie było! Samych psalterzy, tak cudownie iluminowanych, jakby to uczynili sami aniołowie, naliczyłem siedem! I tyleż brewiarzy, w tym dwa zdobne aksamitem, a jeden w niezwykle praktycznej oprawie sakwowej – marzenie każdego pielgrzymującego mnicha. Obok tych ksiąg świętych, jakby nic sobie nie robiąc z ich towarzystwa, stał słynny *Picatrix* al-Majritiego. W dwóch egzemplarzach! Mieliśmy przed sobą zarówno arabski oryginał, jak i łacińskie tłumaczenie tej czarnoksięskiej księgi dokonane przez Alfonsa Mądrego. A jeszcze, prócz porządnie poustawianych w szafach kodeksów, były skrzynie pełne zwojów. Od mnogości wielobarwnych floratur, bordiur, drolerii i inicjałów zaczynało mi się kręcić w głowie.

Jako, że komnata z księgami nie miała okien, nie wiedzieliśmy ile spędziliśmy w niej czasu. Uświadomił nam to dopiero Alkutub, który wróciwszy wskazał na ogarki dopalających się świec. Musiał być zatem wieczór. Okazało się, że jest późna noc. Gospodarz po raz kolejny przeproszał nas gorąco za swoje zaniedbanie, pozostawienie nas bez jedzenia i towarzystwa. Na wieczerzę było zdecydowanie za późno, okazało się jednak, że i niektórzy Maurowie wiedzą czym jest podkurek. My zaś, choć nawykliśmy w Świętym Krzyżu do skromnego jadła i klasztornej dyscypliny, nie odmówiliśmy zaproszeniu do stołu. Widać długie obcowanie z księgami kosztowało nas sporo sił, bo ciała same domagały się pokrzepienia. Zwłaszcza, że przecież planowaliśmy następnego dnia wyruszyć w dalszą podróż ku odległej Polonii.

Podczas posiłku rozmawialiśmy we trójkę. O księgach – a jakże, bo o czym innym by warto rozmawiać po takim dniu! Brat Gregorius, który znał nieco język naszego gospodarza, szybko zorientował się, że jego imiona doskonale oddawały pochłaniającą go pasję, bowiem musicie wiedzieć, że „Alabid Alkutub” przekłada się na naszą mowę jako „Wielbiciel Ksiąg”. Maur kochał księgi i niechętnie się ich pozbywał, choć z handlu nimi uczynił źródło swoich

dochodów. Te najpiękniejsze zawsze zachowywał dla siebie. Tak bardzo interesował się wszystkim co dotyczyło ksiąg, że opowieści o naszym klasztor-
nym księgozborze, choć ten wciąż jeszcze nie był zbyt obszerny, słuchał z wypiekami na twarzy. Okazał się też niezrównanym gawędziarzem, o każdym swoim nabytku miał do opowiedzenia jakąś zajmującą historię. Były dla niego jak rodzone dzieci. Znał ich pochodzenie, dobre i złe koleje losu, najmniejsze rany na oprawach i lazurkowe blizny na kartach. Jego słowa coraz bardziej rozpalały naszą wyobraźnię i ochotę na dłuższy tu pobyt. Chcieliśmy wziąć do rąk wszystkie te dzieła, o których tak barwnie mówił ich właściciel.

Nadchodził brzask, a my nadal nie spaliśmy. Wierciliśmy się obaj, choć posłania były wygodne. Najwyraźniej nie umieliśmy stawić czoła pragnieniu dłuższego obcowania z tą wspaniałą biblioteką na obrzeżach aragońskiego miasta. Razem uklękliśmy do jutrzni, jakby szukając w słowach modlitw potwierdzenia dla decyzji, którą już w istocie podjęliśmy. Zostaniemy w Saragossie. Tak długo, aż nasycimy się bliskością i treścią cennych rękopisów. Po tej nocy pierwszy raz poczułem się więźniem biblioteki. Dobrowolnym.

Przy śniadaniu brat Gregorius nieśmiało zaczął podpytywać Alabida o możliwości dłuższego obcowania z jego zbiorami. Obawialiśmy się, że odpowiedź może być negatywna, zwłaszcza że nasze sakiewki srebrem nie porbrzękiwały. Uczciwego denara nie dałoby się z nich wyjąć. Co najwyżej można było w nich trafić na cienkie, wytarte, albo i wręcz połamane miedziaki. Nie mieliśmy zatem wiele do zaoferowania naszemu gospodarzowi. Wysłuchawszy do końca przemowy z kamienną twarzą, Maur zerwał się gwałtownie. Napiecie wisało przez chwilę w powietrzu, aż nagle rozłożył szeroko ramiona i jeszcze szerzej się uśmiechnął. W końcu krzycząc – *Aeazu al'iikhwa!* Bracia najdrożsi! – brał nas po kolei w objęcia i serdecznie ścisnął.

W istocie staliśmy się mu rodziną. Innej nie miał, bo wszystkich bliskich zabrała mu czarna śmierć, która przetoczyła się przez Aragonię kilkanaście lat wcześniej. Któregoś wieczoru ze łzami w oczach opowiadał o śmierci żony i czwórki dzieci. Gotów był oddać wszystko co miał, byle ich uratować. Jednak pieniądzom brakowało mocy powstrzymywania dżumy. Nie dało się za nie kupić życia. W swoich księgach, z których wiele dotyczyło medycyny, także nie znalazł odpowiedzi jak zapobiec pojawianiu się ropnych pęcherzy u kolejnych dzieci i w końcu też na skórze Asali.

– Asala, Asala, Asala... – niemal szlochał, wypowiadając imię zmarłej żony, by po chwili zaśmiać się ponurym, gorzkim śmiechem. – Wiecie, co w moim języku oznacza jej imię?

Pokręciliśmy przecząco opuszczonymi głowami

– „Czysta”. Zanim zachorowała, jej ciało było alabastrowe, a skóra gładsza niż cokolwiek innego na świecie. Poznaliśmy się na targu w Barcelonie, bo w tym mieście oboje wówczas mieszkaliśmy. Pokochaliśmy się od pierwszego wejrzenia. I nic nie mogło powstrzymać naszej miłości, nawet to, że ona była chrześcijanką, a ja wyznawcą Allaha. Dla niej gotów byłem gotów zaprzeć się swojej wiary, samego siebie. Ale to ona mnie uprzedziła. Któregoś dnia wzięła mnie za rękę i patrząc głęboko w oczy wypowiedziała te słowa: *lā 'ilāha 'illā-llāh, muḥammadun rasūlu-llāh*. Trzykrotnie. Nie ma boga prócz Boga jedyne, a Mahomet jest jego Prorokiem. Stało się. Przestała być Alejandrą, a stała się Asalą. Oczywiście nie mogliśmy zostać w Barcelonie. By być razem uciekliśmy. Trafiliśmy właśnie tu, na przedmieścia Saragossy. I tu urodziły się nasze dzieci. Nie ma już Asali, nie ma już dzieci! *Ma sha'a allah...*

Alabida pchnęła ku nam przejmująca samotność oraz równa naszej, nie-pohamowana miłość do ksiąg. I to właśnie dla niej, *nolens volens*, porzuciliśmy swoje zgromadzenie zakonne.

Od świętokrzyskiego opata mieliśmy pozwolenie na pielgrzymkę do Ziemi Świętej, a znaleźliśmy się w Aragonii. Ze ślubów złożonych Bogu nikt nas nie uwolnił, więc zdawaliśmy sobie sprawę, że kiedyś będziemy musieli spojrzeć prawdzie w oczy. Nie rozmawialiśmy jednak o tym. Żaden z nas nie chciał tego robić. Przynajmniej na razie...

Dostaliśmy osobne izby sypialne, nie brakowało ich w tym dużym domu. I mogliśmy tu zostać, tak długo jak mieliśmy ochotę. Gospodarza najwyraźniej cieszyła nasza obecność, choć najwięcej czasu spędzaliśmy w towarzystwie ksiąg. A jedna z nich wpadła mi w oko już podczas pierwszej bytności w komnacie z armariami. Rozmiarem była niepozorna, zaledwie *in octavo*. Okładki miała bez złotych okuć, bez kamieni szlachetnych, bez jakichkolwiek inkrustacji, a jednak intrygujące. Była jedną z tych *libri catenati*, przykuwanych do stołu łańcuchami i ciężkimi kłódkami, jak galernicy do wiosł. Jednak to nie okowy zwróciły moją uwagę. Od smoliście czarnych okładek bił subtelny blask, jakby lśniły. Nietypową oprawę wykonano z hebanowych desek pokrytych od zewnątrz skórą czarnej kobry. Wnętrze skrywało niespełna pięćdziesiąt kart, ale za to z najdelikatniejszego welinu, jaki miałem w rękach. Kiedy zapytałem brata Gregoriusa, z czego są robione, odpowiedział, że to bardzo kosztowna skóra pochodząca z nienarodzonych cieląt. Wzdrygnąłem się na te słowa. Niezwykłe było również to, że karty księgi były zabarwione na czarno, a tekst napisano złotym inkaustem. Niestety po arabsku,

w języku, którego nie znałem. Jednak nie przeszkadzało mi to w oglądaniu jej wciąż na nowo. Alabid dostrzegł moje zainteresowanie i dyskretnie starał się kierować uwagę w inną stronę. Nigdy też nie opowiedział historii księgi, do której tak lgnąłem. Mimo to, nieustannie znajdowałem czas, by pobyć z nią choć przez chwilę. Niepostrzeżenie stawiałem się jej więźniem, może nawet niewolnikiem. Nie było dnia, bym nie dotykał jej okładek. Delikatnie je pieściłem, zawsze czując przy tym dreszcz przyjemności.

Pozostając pod urokiem czarnej księgi, zacząłem się uczyć arabskiego, by przez znajomość tego języka poznać ją lepiej, dowiedzieć się, co będzie mi miała do powiedzenia. Niełatwa to była nauka, a wybór tego manuskryptu na poznawanie nowego języka okazał się złym pomysłem. Dzień po dniu mozolnie poznawałem, próbowałem odczytywać słowa. Jednak złote znaki układały się bardzo często w wyrazy o niezrozumiałym dla mnie znaczeniu, lub zgoła całkiem mi nieznane. Coś jednak powstrzymywało mnie przed szukaniem pomocy u Gregoriusa, czy starego Maura. Chciałem być z księgą sam na sam. Potajemnie nauczywszy się otwierać kłódkę, zacząłem nocami uwalniać księgę, by przенosić ją do swojej komnaty sypialnej. W samotności brnąłem przez czerń jej kart. W ciemność, w której się coraz bardziej pogrążałem, nie zdając sobie z tego sprawy.

W tę jesienną noc księżyc był w pełni, a chmury, które przez ostatnie kilka nocy kryły niebo, zupełnie się rozwiały. Było tak jasno, że mogłbym czytać księgę bez pomocy świec.

Znów próbowałem składać słowa z czarnej księgi. Poruszając ustami, szeptałem cichutko.

— *De al'aghlal tasqut min yadik* — miałem wrażenie, że w tej chwili w komnacie pociemniało i zrobiło się chłodniej.

— *Uetik alhuriya. Ueal waleaysh!* — kiedy wypowiedziałem te słowa, z moich ust wydobyła się para, a na skórze pojawiła się gęsia skórka. Zacząłem drżeć. Nie tylko z zimna. Kątem oka dostrzegłem, albo może tylko poczułem gęstniejący, materializujący się mrok. Przez cały dom przebiegło lodowate tchnienie, a w mojej głowie zahuczał niski głos, boleśnie rozsadzający czaszkę.

— Jam jest przedwieczny Kutrub — Pożeracz Ciał i Wysysacz Dusz! Przybywam z bezkresnej pustki, by wreszcie nasycić swój nieskończony głód, by wylać z siebie gniew uwięzienia. Będzie płacz, zgrzytanie zębów, a ziemia spłynie krwią. Nie oszczędzę ni starców, ni kobiet, ni dzieci człowieczych. Ty przeżyjesz, boś jest pierwszą istotą od stuleci, która wypowiedziała na głos Słowa Uwolnienia. Nigdy już nie opuścisz tych murów, a póki żyjesz,

nikt inny w nie nie wstąpi. Żyj i ciesz się dniami, które ci pozostawiłem, marny śmiertelniku.

Demoniczny głos w mojej głowie nagle umilkł, a ból ustąpił. Po chwili przez dom przetoczyły się przerażające okrzyki cierpienia jego mieszkańców, a zaraz potem nienaturalnie głośny chrzęst kruszonych kości. I śmiertelna cisza. Nie miałem najmniejszych wątpliwości co do losu brata Gregoriusa i Alabida. Nie znalazłem w sobie dość odwagi, by ruszyć ku nim, by osłonić ich swoim ciałem, by zginąć wraz z nimi. Postąpiłem jak tchórz. Bo też większego lęku, jaki wówczas czułem, nie jestem w stanie sobie wyobrazić.

Kiedy otrząsnąłem się z szoku i zrozumiałem, co zaszło, chciałem szukać słów zaklęcia, które zniszczyłoby demona lub chociaż go odwołało. Był przecież przez wieki uwięziony, więc pewnie można go było spętać ponownie. Czarna księga jednak znikła wraz z demonem, a z tych, które pozostały nie dowiedziałem się, co robić. Nie udało mi się też opuścić domu. Przy każdej próbie odbijałem się od jakiejś niewidzialnej bariery, która także nie przepuszczała moich krzyków. Nikomu z zewnątrz również nie udało się dostać do środka, choć nawet nie wiem, czy ktoś próbował. Po tej przeklętej nocy nie zobaczyłem bowiem już ani jednego człowieka. Czy w Saragossie ostała się jakaś żywa istota? Czy w refektarzu Świętokrzyskiego opactwa moi współbracia wciąż jeszcze siadają do wspólnego posiłku? Drżałem na myśl o ich losie, gdyż wciąż miałem w pamięci to, co zostało z moich przyjaciół po spotkaniu z demonem.

Dni moje są policzone, bo kończą się zapasy wody. Nie to mnie jednak nurtuje, lecz pytanie, czy po mojej śmierci zaklęcie demona ustąpi i ktoś będzie mógł wejść do domu? Mam nadzieję, że wtedy znajdzie się jeszcze na świecie człowiek, który mógłby znaleźć te zapiski. Oby udało mu się powstrzymać ghulę, któregom przez swoją głupotę i lekkomyślność przywołał. Oto do czego doprowadziła mnie namiętność do ksiąg, która zakiełkowała we mnie przed laty w chłodnych murach biblioteki Świętokrzyskiego klasztoru! A jedyne co mogę teraz zrobić, to wołać do Boga o odpuszczenie grzechów i ocalenie ludzi. Niech Wszechmocny ma was w opiece!

frater Johannes

Marek Tuz

Gombrowiczowska kupa



„GOMBROWICZOWSKA KUPA”

J. DZGA'18

Małoszyce, rok 1936

Pomimo lata noc była ciemna. Niewielki księżyc oświecił jedynie kawałek drogi, dzięki czemu idący nią osobnik był prawie niewidoczny. Około trzydziestoletni mężczyzna z wylizanymi na bok włosami ubrany był w elegancki garnitur, a do piersi przyciskał stertę papierów. Przechodzień bacznie rozglądał się na boki, jakby bał się wścibskich oczu. Mężczyzna zatrzymał się nagle, usłyszawszy szelest i schował trzymane kartki pod poły marynarki. Gdy nic się nie wydarzyło, ruszył dalej. Doszedłszy do krańca wsi, zszedł ze ścieżki. Po przejściu kilkudziesięciu metrów podszedł do drzewa i włożył carską pięciorublowkę w niewidoczną szparę. Gdy tylko moneta zanurzyła się w pniu drzewa, ziemia kilka metrów dalej rozstała się, ukazując ukryte schody. Mężczyzna, wciąż ściskając w dłoniach plik papierów, bez wahania zstąpił w otchłań. Znalazłszy się na dole, pociągnął za dźwignię w ścianie, zamykając jedyne wyjście na powierzchnię. W mroku błysnęła odpalana zapalka, a po chwili podpalona pochodnia rozjaśniła cały korytarz... Ująwszy źródło światła, bez wahania ruszył przed siebie. Wyglądał on całkowicie inaczej, niż gdy poruszał się po małoszyckiej drodze. W przeciwieństwie do poprzedniego spaceru teraz był odprężony, przez co szedł lekkim, sprężystym krokiem. Po chwili dotarł do końca holu. Znajdowały się tam pancerne, stalowe drzwi zamknięte na cztery spusty. Przybysz wyjął zza pazuchy duży klucz i zaczął cierpliwie otwierać wszystkie zamki. Minutę później dał się słyszeć skrzyp otwieranych drzwi. Mężczyzna schował klucz do kieszeni i przecisnął się do środka pomieszczenia. Pokoik był malutki, dzięki czemu pochodnia wystarczała do oświetlenia prawie całego lokum. Znajdowała się tam spora biblioteczka, na której znajdowały się liczne sterty papierów oraz mały stolik z kałamarzem i piórem. Przybysz skrupulatnie położył trzymane pod pachą dokumenty na półeczce biblioteczki i skierował się do wyjścia, lecz zatrzymał się w pół kroku.

— Czuwaj! — rzekł wpatrując się w jedyne zaciemniony kąt pokoju, gdzie jak na komendę zaświeciła się para czerwonych oczu.

Zamość, rok 2018

Młody chłopak krzątał się po niewielkiej kawalerce w samych spodenkach. Co rusz przestawiał rzeczy na regale lub ścierał niewidoczny kurz. W końcu usiadł i przyciągnął do siebie kopertę leżącą na stole. Po chwili zastanowienia wyjął z niej pieniądze i dokładnie przeliczył.

— Na miesiąc, może dwa przy zaciskaniu pasa styknie, ale nie więcej. Chyba w końcu trzeba znaleźć robotę na stałe. — pomyślał chłopak i zasępił się.

Po chwili schował banknoty z powrotem do koperty i odłożył na blat stołu. Następnie wstał, położył się na jedynej sofie w mieszkaniu i zamknął oczy. Właśnie w tym samym momencie piskliwie odezwał się telefon.

– Nawet poleżeć nie dadzą. – warknął domownik, po czym powiedział do słuchawki:

– No, co tam?

– Dzień dobry. Czy dodzwoniłem się do pana Sebastiana Wałczyka? – zapytał nerwowo głos po drugiej stronie słuchawki.

– Noo.

– Yyy... Słyszeliśmy, że jest pan jednym z najlepszych łowców potworów w kraju, dlatego mamy dla pana zlecenie.

– No ba, jestem najlepszy.

– Jestem przedstawicielem wojewody świętokrzyskiego. Zlecenie polega na...

– Świętokrzyskiego? Bliżej nikogo nie macie do wynajęcia?

– No... Już nie.

– Aaa, to o to chodzi. Frajerów zatrudnialiście, a tu trzeba profesjonalisty. Drogo was to będzie kosztować.

– Jesteśmy na to przygotowani. Chce pan usłyszeć więcej o zadaniu?

– No dawaj, ziom.

– No dobrze. Od czego by tu zacząć. Wie pan, kim był Witold Gombrowicz?

– No pisarzem, mordeczko. Za idiotę mnie masz czy co? Do szkoły chodziłem to i streszczenie tej ferdydurki czytałem.

– „Ferdydurke”, ale mniejsza z tym. Gombrowicz urodził się w Małoszycach, jakieś siedemdziesiąt kilometrów od Kielc. Długo tam nie pomieszkał, ale później często przyjeżdżał na wakacje i w odwiedziny. Ostatni raz był tam widziany w trzydziestym szóstym. W latach pięćdziesiątych chodziły pogłoski, że w miejscu swoich narodzin ukrył nieopublikowane dzieła. Wielu próbowało, ale nikomu się nie udało odnaleźć rzekomej tajemniczej skrytki z tekstami. Władza traktowała to jak legendę, lecz kilka miesięcy temu odnaleźliśmy nietypową carską pięciorublowkę. Zamiast cara Mikołaja znajdował się na niej profil Gombrowicza. Wtedy postanowiliśmy odszukać zaginione dzieła pisarza.

– I ja mam wam niby pomóc? – prychnął do telefonu Seba. – Jak szukacie głupiego, żeby wam w ziemi grzebał, to sobie do tego historyka, ze szwabskim nazwiskiem zadzwonicie, a nie mi głowę zwracacie pierdołami.

– Nie, nie, panie Wałczyk. Proszę się nie martwić. Skrytka została już

odnaleziona, tylko, że...

– Tylko, że co? Typeczku, mówisz czy nie? Nie mam czasu. Inni czekają w kolejce, a ty się guzdrzesz. – łgał dresik.

– Skrytka jest strzeżona. Zatrudniłszy trzech pana kolegów po fachu, po tym jak przepadł wynajęty przez nas fachowiec, który miał iść ocenić prawdziwość znaleziska. Żaden z zabijaków też nie wrócił. Nie wiemy, co tam czyha, ale jest cholernie groźne.

– Nie takie rzeczy się robiło. Ile hajsu za to?

– Hmm... myślę, że pięć tysięcy to wystarczająca kwota.

– Niezła cena, ale mam lepszy pomysł. Zgodzę się na połowę kwoty plus mała przysługa. Interesuje się pan nożną?

– Paru piłkarzy kojarzę, ale żeby od razu interesować się to nie. Ale co to ma do rzeczy?

– Za dwa tygodnie wasz zespół gra meczek z moim ukochanym zamojskim klubem w Pucharze Polski. Za dwa i pół koła i podłożenie się w tym spotkaniu zabije wam waszego potworka.

– Nie ma mowy! Możemy pani zapłacić więcej, ale nie damy się wkręcić w żadne lewe interesy, jak ustawianie meczów.

– No to widzę, że się nie dogadamy. Ciekawe czy znajdziecie drugiego takiego kozaka jak ja. Elo! – rzucił chłopak, rozłaczając się.

Tydzień później

Dźwięk dzwonka w telefonie rozbrzmiał dokładnie, gdy Seba zajechał rowem pod swój blok. Dresik rzucił okiem na wyświetlacz i zaśmiał się.

– Co, przyjmujecie moją cenę, bo nikogo lepszego nie ma?

– Potrzebujemy pana. Kolejni polegli. Jest pan naszą jedyną nadzieją na zdobycie tego skarbu, dlatego skłonni jesteśmy zawrzeć kompromis.

– No to słucham, co ustaliliście.

– Możemy zaoferować trzy tysiące i dwa gole przewagi w meczu dla waszej drużyny.

Znając nasz zespół to dwa gole przewalą w jednej połowie, więc i tak to nic nie da. Ale jakby się udało wyciągnąć trzy od tych frajerów z Kielc to już może, może... – myślał chłopak.

– Trzy koła może być. Ale dwa gole to za mało. Trzy to moja ostateczna cena.

– No niechże pan będzie człowiekiem...

– Trzy, albo szukajcie kolejnych debili, którzy dadzą się zabić.

– Dobrze, niech już będzie. Kiedy może pan przyjechać do Małoszyc? Zależy nam na czasie.

– Dzisiaj mi się już nie chce. Jutro jak zwłokę się z wyrka, to mogę przyjechać.

– Dobrze. Będę na pana czekał. Do zobaczenia.

– Heh, interesy z frajerami to przyjemność. – rzucił do siebie Seba, chowając telefon do kieszeni.

Słońce było już w zenicie, gdy bordowy Passat powoli zajechał na ławkę i zaparkował obok srebrnego opla, przy którym czekał już starszy facet w garniturze. Ze swoimi rozbieranymi oczami wyglądał, jakby sam miał za chwilę iść zmierzyć się z potworem. Nie wyglądał na zadowolonego z powierzonej mu misji. Mina zrzędała mu jeszcze bardziej, gdy zobaczył Sebę, który właśnie wygramolił się ze swojego pojazdu. Urzędas krytycznie przyjrzał się dresowym spodenkom z czterema paskami i koszulce w biało-czerwono-zielone barwy. Do tego przyniósł ze sobą wyładowany plecak i przerzuconą przez ramię „nerkę”.

– Witam, panie Wałczyk. – rozpoczął rozmowę elegancik, wyciągając rękę w stronę chłopaka. – Nazywam się Arkadiusz Ziębała. Jak już mówiłem przez telefon sprawa nie jest prosta, ale liczymy na pana.

– Siemka. – odpowiedział Seba, energicznie potrząsając dłonią rozmówcy. – Spokojnie ziom, damy radę.

– Możemy już zaczynać czy chce pan najpierw odpocząć po podróży? Przyznam, że zależy mi na czasie, bo mieszkańcy zaczynają coś podejrzewać. Wolałbym ulotnić się stąd jak najszybciej.

– Klient nasz pan. Przygotuję tylko sprzęt, łyknę eliksiry i mogę iść.

Seba postawił plecak na ziemi i zaczął wyjmować z niego najróżniejsze przedmioty. Oczy Ziębały robiły się coraz większe, gdy widział broń dresika, od dwóch maczet poczynając, przez różnej grubości łańcuchy, aż do żeliwnej gazrurki. Łowca przez chwilę przyglądał się wyposażeniu, po czym wybrał srebrną maczetę i jeden łańcuch. Ostrze schował do tylnej kieszeni spodenek, która wyglądała jakby służyła wyłącznie do tego, natomiast łańcuch przewiesił sobie przez ramię. Resztę broni schował z powrotem do plecaka. Następnie sięgnął do „nerki” i rozpiął ją, ukazując jej zawartość, czyli pięć szklanych buteleczek z różnokolorowymi płynami.

– Ciemno tam? – zapytał urzędnika.

– Część korytarza jest oświetlona przez słońce, dalej nic nie widać. Jeśli pan chce, to mam latarkę w samochodzie...

– Mam lepsze sposoby.

Po uzyskaniu informacji Seba wyjął dwie karafki z eliksirami: jednym rdzawożółtym, drugim przezroczystym. Ziębała patrzył ze zdziwieniem, gdy dres odkorował pierwszą buteleczkę i wypił zawartość.

– To eliksir, żebym w ciemności mógł wszystko widzieć, a nie się z latarką użerać. – pospieszył z wyjaśnieniem chłopak. – Babcia mi je przyrządza. Ten nazywa się Sowa. Trochę alkoholu, ostropest, aspalat i kilka innych ziół. Jeszcze nigdy się nie zawiodłem na babcinej recepturze.

– A to? – zapytał urzędnik, przyglądając się buteleczce z przezroczystym płynem.

– A to, mordeczko, jest mój ulubiony eliksir, Sikorka. Po niej człowiek staje się odważniejszy, odporny na ból i ogólnie poprawia się jego motoryka.

– Jakie składniki są potrzebne do przygotowania? – zaciekał się Ziębała.

– Czysty spirytus. – odrzekł dresik, zabierając karafkę z ręki zleceniodawcy i wypijając eliksir. – No, to zaczynamy. Pilnuj mi rzeczy. I niczego nie dotykaj. Raz już trafiłem na frajerów, co mi chcieli rzeczy ukraść. I wiesz co? Już nie mają, czym kraść.

– Nie śmiałbym. A, jeszcze jedna sprawa. Mam prośbę, żeby uważał pan podczas walki na rękopisy znajdujące się w skrytce. Mamy niemal pewność, że są tam dzieła Gombrowicza, które uznano za spalone, czy powieść z Tadeuszem Kępińskim, rzekomo niedokończona.

– Zobaczę, co się da zrobić.

– No dobrze. Dostyc gadania.

Urzędnik podszedł do drzewa, wyjmując z kieszeni pieniądze, który wrzucił w niewielką szparę. Tak jak osiemdziesiąt lat wcześniej ziemia rozstała się, ukazując korytarz. Spod ziemi cuchnęło rozkładającymi się ciałami poprzedników.

– Zaraz wracam. – rzucił na odchodne chłopak, głupkowato się uśmiechając, po czym zszedł po schodach.

Już kilka metrów dalej Seba natknął się na pierwsze ciała. Twarze zwłok były zmiażdżone, a z uszu wylewała się krew. Każdy z nieszczęśników trzymał w dłoni latarkę.

– No to nic dziwnego, że zginęli jak wzięli latarki od tego idioty i walczyli jedną ręką. Heh, ale nie mój problem. Przynajmniej roboty dla mnie będzie więcej, bo w świętokrzyskim to chyba żaden porządny pogromca potworów nie został. – rzucił do siebie dresik.

Ilość trupów zaczęła wzrastać, po czym Seba wywnioskował, że zbliża się

do potwora. Naliczył już z dziesięć trupów i jeszcze więcej walającej się dookoła broni.

Trzeba będzie sobie coś wziąć, wracając. Po co się mają ładne mieczyki i topory marnować? – pomyślał chłopak.

Rozmyślenia zostały przerwane przez ryk, wydobywający się zza stalowych drzwi, do których właśnie zbliżał się dres. Z pokoju wyłonił się młody chłopak. Ubrany był w nienaganny mundur szkolny z międzywojnia. Jego czysty schludny ubiór i niewinność wypisana na twarzy całkowicie nie pasowały do zwierzęcego ryku słyszanego przed chwilą przez Sebę.

– Jesteś kolejnym, który pragnie dostać się do skarbów mego Pana? Nie widziałeś, jak skończyli twoi poprzednicy? Odejdź teraz, a daruję ci życie.

– A jak nie, to co mi zrobisz, chłopaczku? – prychnął łowca.

– Jeśli nadal będziesz chciał zdobyć te pisma, będziesz musiał się ze mną zmierzyć w pojedynku na miny. Jeśli wygrasz, pozwolę ci wejść do skarbcza i wziąć, co tylko zechcesz. Ale jeśli to ja będę górą, rozgniotę ci głowę jak tamtym. – odpowiedział chłopiec-potwór, wskazując na leżące truchła.

– Eee... pojedynek na miny? I na czym to niby ma polegać?

– Ech... Poprzedni przynajmniej byli jakoś wykształceni. Widać coraz gorsze szumowiny przysyłają. – mruknął do siebie strażnik gombrowiczowskiej spuścizny, a głośniejszym głosem odparł – Zwycięzcą pojedynku na miny jest zawodnik, który wykona głupszą minę. Zacznę, jeśli pozwolisz.

Chłopak chwilę stał bez ruchu, po czym wykonał najdziwniejszą minę, jaką Seba widział w życiu. Potwór przewrócił oczyma i otworzył usta, aż zaczęła kapać mu z nich ślina.

Już wiem, co to znaczy cielęcy wyraz twarzy. – pomyślał dres.

– No to teraz chyba moja kolej. – powiedział Seba, wzruszając ramionami.

Chłopak nadal stał ze swoją głupkowatą miną, gdy zamościanin odwrócił się i skulił, próbując przybrać dziwniejszą minę. Tak przynajmniej myślał strażnik. Ostatnie, czego się spodziewał, to maczeta odcinająca mu głowę.

– Heh, i teraz na wieczność będziesz miał taką durną minę.

Seba przestąpił zdekapitowane ciało i zajrzał do pomieszczenia, gdzie ujrzał cały regał papierów, zachowanych w idealnym stanie. Następnie wyszedł na zewnątrz do czekającego urzędnika. Ten, widząc nadchodzącego dresa, rzekł:

– To prawda, co o panu mówią. Prawdziwy z pana zawodowiec. – a po chwili dodał z podnieceniem – Ile tego jest? Są przynajmniej ze trzy książki?

– Trzy? – zapytał z niedowierzaniem Seba – Cały regał zavalony papierami. Gombrowiczowska kupa książek, hehe.

Zamość, tydzień później

Seba wysiadł z Passata i sprężystym krokiem ruszył w stronę bloku. Życie od razu wydawało się lepsze, gdy w plecaku znajdowało się sześć kawałków. Cieszyło go również to, że doceniono jego usługi i dostał tak sporą premię. Dochodząc do klatki schodowej, zobaczył siedzącego na ławce sąsiada Karola.

– Gdzieś ty był? Mecz cię ominął, a nieczęsto do Zamościa przyjeżdża drużyna z ekstraklasy. – zapytał go sąsiad.

– Musiałem odebrać nagrodę za ostatnie zlecenie. A w następnej rundzie czuję, że trafimy na kolejnego ekstraklasowicza, to sobie wtedy obejrzę meczyk.

– W jakiej następnej rundzie? Przecież przegraliśmy.

W Sebie zaczęła wzbierać wściekłość.

Oszukali mnie! Mieli dać nam strzelić trzy brameczki, a tu kicha. – pomyślał dresik, ale głośno powiedział tylko:

– Jaki był wynik?

– 4:3.

Seba, idąc po schodach ze zwieszoną głową już nie uważał, że życie jest tak piękne jak kilka chwil wcześniej.

Karolina Werens

Noc krwawych bursztynów



J.OZGA'18

– Do widzenia, doktorze Krukowski. Gratuluję wystawy! – ukłonił się ostatni z gości wernisażu opuszczający galerię. Krukowski odpowiedział zmęczonym uśmiechem, wyjął klucze i ruszył ku wyjściu. Za oknami zamku panował już mrok, rozdierany dalekimi rozbłyskami burzy. Młody doktor omiótł wzrokiem opustoszałą salę. Zakładał muzealną plombę, gdy poczuł na sobie czyjś wzrok. Odwrócił się gwałtownie. W tym samym momencie rozległ się huk grzmotu. Błysk oświetlił dwie stojące w półmroku postaci. Po plecach muzealnika przebiegł dreszcz.

– *Guten Abend, Doktor Krukowski.* Mam nadzieję, że pana nie wystraszyliśmy.

– Ależ nie, choć myślałem, że wszyscy już wyszli. Frodoryk Krukowski, miło mi. Czy nie widziałem dziś panów na otwarciu wystawy?

– Jestem *Professor Schwarz*, a to mój przyjaciel, *Doktor Wald*. – Starszy jegomość mówił po polsku z wyraźnym niemieckim akcentem, co dodawało mu osobliwego uroku. Jego towarzysz w okrągłych okularach skinął głową, potwierdzając, że wszystko rozumie. – Ja jestem *ein Architekt*, a Doktor Wald to archeolog na uniwersytecie w *Leipzig*. Trafiliśmy tu przypadkiem, *Herr Frodoryk*, zwiedzając Sandomierz. Tak spodobał mi się zamek, że postanowiłem poprosić o chwilę rozmowy. Jeśli oczywiście to nie kłopot?

Profesor ubrany był w kraciasty garnitur i zielony, aksamitny melonik. Pod nosem kwitł obfity wąs, kręcony teraz przez profesora dwoma palcami, gdy ten opowiadał przy herbacie o swoich badaniach naukowych. Pocący się nieprzeciętnie doktor Wald milczał, zajęty przecieraniem okularów, z których od kilkunastu minut nie mógł się pozbyć tłustych plam.

– Tak więc, *Herr Krukowski*, w poszukiwaniu architektury sakralnej zawędrowałem aż tutaj. Portal w kościele świętego Jakuba jest *wunderschön*! – Niemiec rozłożył ręce w zachwycie. – Ale i zamek posiada fascynującą historię, nieprawdaż? Natrafili już państwo na wejście do ukrytej piwnicy na poziomie *minus Zwei*?

– Nie, nie natrafiliśmy – westchnął Krukowski niedowierzając, że profesor dał się nabić w butelkę lokalnym przewodnikom, opowiadającym bajki o hitlerowskich korytarzach wydrążonych pod zamkiem. – Ani w czasie odbudowy zamku w latach sześćdziesiątych, ani w czasie wykopalisk podczas późniejszej renowacji. Może dlatego, że żadne tajne przejście z drugiej wojny nie istnieje? – zastanowił się z przekąsem.

– Nieobecność dowodu to nie dowód na nieobecność – uśmiechnął się profesor Schwarz, unosząc teatralnie palec wskazujący. – Jest pan

archeologiem, a ja *ein Experte* w dziedzinie architektury. Nie chciałby pan zabawić się w poszukiwanie skarbu?

– Nie mówi pan poważnie o szukaniu wejścia do mitycznego labiryntu Minotaura?

– Ja również nie sędzę, by te *Legenden* były prawdziwe. Chciałbym jednak poczuć się znów przez chwilę jak mały chłopiec na tropie zagadki. Zechciałby pan oprowadzić mnie po zamku? Przy okazji przyjrzymy się rozwiązaniom architektonicznym. Kto wie, może dopatrzemy się śladów historii sprzed najazdu szwedzkiego, a może graffiti z czasów więzienia w dwudziestym wieku...

Krukowski chwycił za telefon.

– Alojzy, jako drugi archeolog muzealny, nie miałbyś ochoty dołączyć do wycieczki po muzeum z naszymi gośćmi, profesorem Schwarzem i doktorem Waldem? – rzucił w słuchawkę.

– Schwarzem i Waldem? – mruknął dr Alojzy Ajzen, unosząc brwi. – Czemu nie... Spotkajmy się przy schodach.

Czterech naukowców stąpało ostrożnie po marmurowych stopniach, oświetlając korytarz latarkami. W głębokich lochach nie było ani okien, ani prądu. Z każdym krokiem zwiedzających ogarniał coraz większy chłód. Zawilgocone mury dawnego więzienia wionęły nieznośną stęchlizną. Pustym korytarzem przetoczyło się echo grzmotu. Burza dotarła do zamku.

– W tych warunkach trudno nie wpaść na ścianę, nie mówiąc o rozróżnieniu koloru zaprawy. Czas wracać na górę...

– *Kein Problem, Herr Krukowski!* Żaden problem. Wprawne oko profesora sobie poradzi... O, widzi pan te cegły pod sufitem? One nie są *originell*, lecz dodano je później. Te drzwi po lewej też miały kiedyś inny kształt.

Krukowski i Ajzen musieli przyznać mu rację. W ciemności nie wypatrzyliby tych szczegółów jako pierwsi.

– *Was ist das?* Jakiż dziwaczny, zamurowany kominiek... – wyjętym nie wiadomo skąd młotkiem geologicznym profesor Schwarz zaczął obtłukiwać znajdujący się w ścianie gzyms.

– Co pan wyrabia?! To zabytek!

Ale było za późno. Nim archeolodzy doskoczyli do Schwarza, gipsowy gzyms leżał już na ziemi, a w miejscu, gdzie wcześniej był przytwierdzony, między cegłami ziała szpara. Profesor uśmiechnął się triumfalnie.

– Widzi pan, *Herr Krukowski*? Ten zamek kryje wiele tajemnic – dodał

i rąbnął młotkiem w cegły pod gzymsem. Te runęły z hukiem w przód, ujawniając pustą przestrzeń w miejscu, gdzie powinien znajdować się mur.

– Tam są schody... – szepnął Krukowski.

– Cóż za profesjonalizm – Ajzen był wściekły. – Powinienem pana natychmiast wyrzucić!

– *Echt*? Nie robi pan tego, ponieważ pan również jest ciekaw, co jest dalej.

– Tak się nie prowadzi badań! Doktorze Wald, nie ma pan jako archeolog nic do powiedzenia?

– Tak, pan ma rację... – Wald raz po raz ocierał nerwowo pot z czoła – Powinniśmy zrobić dokumentację. Nie tak *schnell*... Znaczący, bez pośpiechu... – wysapał, patrząc pod nogi.

– Słyszał profesor?

– Przecież niczego nie zniszczymy, tylko zajrzemy do środka...

– *Nie zniszczymy?* – syknął szyderczo Ajzen – Na żadnych innych zabytkach nie ma pan już ochoty wyładować stresu?

– Dramatyzuje pan – zniecierpliwił się profesor Schwarz. – Ten brzydki komin z lat czterdziestych to żadna strata.

– Chyba się w tej kwestii nie zgodzimy. Zapraszam panów do wyjścia. Frodoryku, wycieczka skończona. Frodoryku?...

– Hop hooop! Tutaaaaj, na doooole! – zza wyłomu doszedł ich głos Krukowskiego, powielony echem.

– Idziemy? – Uśmiechnął się szeroko profesor. – Nie zostawimy chyba pana kolegi. Proszę już się nie gniewać... No dobrze, *sehr gut*, oddam panu młotek. Umowa stoi?

Przejście było wąskie, szli więc gęsiego: na przedzie dyszał doktor Wald, za nim przeciskał się Schwarz, a pochód zamykał pomrukujący ze złością Ajzen.

– Powinienem ich być wywlec za fraki...

– Nikt nie szedł tędy od lata czterdziestego czwartego roku! *Niemand!* – pisnął z zachwytem Schwarz.

– Wtedy toczyły się najcięższe walki między Niemcami a Armią Czerwoną. Dobrze się pan orientuje w historii Sandomierza – Ajzen spojrzał spod byka na zielony melonik stąpającego przed nim profesora.

– Zwiedzaliśmy dziś miasto z przewodnikiem. *Fascinierend*, że to wszystko prawda... Ach, *die Türe!* Drzwi!

Doktor Wald stał przed uchylonymi, pancernymi drzwiami. Malowała się na nich czarna swastyka.

– Aaaaa!...

– Frodoryku?!

Wszyscy troje pospieszyli do wewnątrz. Doktor Ajzen po kilku sekundach zlokalizował opartą o stół postać Krukowskiego.

– Jesteś cały?

– Tak...

– To czemu wrzeszczysz?

Krukowski wskazał ręką fotel w kącie pomieszczenia. Siedział tam, wciąż odziany w mundur, ludzki szkielet. Część kości, uwolnionych po wielu latach od mięśni i ścięgien, rozsypała się po podłodze.

– Nie spodziewałem się, że gospodarze jeszcze tu są.

– Co to za miejsce? – rozejrzał się Ajzen.

– Wygląda na laboratorium. Probówki, strzykawki, podręczniki medyczne... Ale kto urządzałby gabinet lekarski w podziemiach zamku?

– Ktoś, kto nie chciał, by o tych badaniach dowiedział się świat.

– *Das ist wahr*, to prawda. Był to tajny ośrodek badawczy. – Profesor Schwarz, dotąd milczący, zdawał się pewnie poruszać po laboratorium, jakby czegoś szukał.

– Ośrodek badawczy Rzeszy... w Sandomierzu?! Nie ma na ten temat żadnej wzmianki w źródłach!...

– *Ach, Herr Krukowski*, czy ośrodek byłby tajny, gdyby pisano o nim w gazetach? Skoro już tu jesteśmy, nie mają panowie ochoty rzucić okiem?

Nagle światło latarki profesora znikło. Doktor Wald podążył za nim.

– Tam jest przejście do drugiego pomieszczenia! Jak duże jest to laboratorium?

– Przekonajmy się...

Krukowski i Ajzen weszli do pokoju obok, ale profesora już tu nie było. Zdążył przemieścić się do kolejnej części rozległego bunkra.

– *Professor Schwarz, sollten wir nicht...*

– *Noch ein paar Minuten.*

Zagraniczni uczeni zaczęli szybko rozmawiać po niemiecku, wyrażnie w czymś się nie zgadzając. Schwarz zdawał się coś tłumaczyć i łągodzić sytuację.

– O czym oni mówią?

– Za cicho... Nic nie słyszę...

– Spójrz, Frodoryku, to nie jedyne przejście – tam są kolejne drzwi.

Krukowski przechadzał się wolno między stanowiskami do pracy. Panował tu porządek, choć niektóre przedmioty, jak rozbity słoik czy przewrócone

krzesło, zdawały się zdradzać ostatnie minuty opuszczonego w pośpiechu laboratorium. Wzrok Krukowskiego zatrzymał się na wielkich, szklanych pojemnikach.

– Te stoje na półkach... *Vorsichtig*... Ostrożnie... To ludzkie szczątki w formalinie!

– Wszędzie dzienniki. A tu jest kartoteka z nazwiskami – Ajzen przewertował znalezione w szufladzie, ułożone alfabetycznie akta. – Spójrz pod *H*... *Höß*, *Hitler*... Dlaczego pozostawili te dokumenty, jakby spodziewali się po nie wrócić?

– *Nein! Nein! Mach das nicht!*... – błagalny krzyk z sąsiedniego pomieszczenia odbił się echem od ścian bunkra. Przez pokój, w którym stali Ajzen i Krukowski przebiegła w ciemności postać z wyłączoną latarką.

– Stój!

– *Hilfee!*... Ratunku!...

– Biegnij za nim, ja sprawdzę, co się stało obok!

Krukowski rzucił się w pościg. Przeskoczył nad jednym ze stołów, zmniejszając dystans. Uciekający mężczyzna nie dostrzegł w ciemności rogu kredensu, którego zawartość roztrzaskała się na posadzce, tworząc niebezpieczny tor przeszkód. By nie wdepnąć w szkło, Krukowski obiegnął kredens z drugiej strony. Stracił przez to jednak cenne sekundy, które przeciwnik bezlitośnie wykorzystał na zatrzaśnięcie za sobą stalowych drzwi pancernych.

– Oszalałeś? Chcesz nas pozabijać?!

Krukowski usłyszał odgłos mechanizmu ryglującego.

– Przykro mi, *Herr* Krukowski, te badania są warte więcej, niż wasze życie... Wasza ofiara to niewielka cena za cud naukowy... *Auf Wiedersehen*, do widzenia! Ach, nie! Zapomniałem, że już się nie zobaczymy!... – Za stalowymi drzwiami rozległ się szaleńczy śmiech.

Okrągła tarcza, służąca do zamykania drzwi, była umieszczona tylko po jednej stronie. Zewnętrznej. Bunkier nie miał być nigdy schronieniem. Zaprojektowano go tak, by zamknięty niczym kapsuła czasu strzegł swoich tajemnic. Krukowski uderzył wściekle pięścią w pancerne drzwi. Droga ucieczki była odcięta. Czy ktoś odnajdzie wyłom w ścianie w atapie kominka i dotrze do wjazdu bunkra? Czy dotrze tu na czas?...

Krukowski ruszył na poszukiwanie Ajzena. Jego stopa niespodziewanie wylądowała na czymś miękkim, a serce skoczyło mu do gardła. Drżącą ręką sięgnął w dół. Podniósł zgubiony przez uciekającego Schwarza zielony melonik.

– Niech go szlag! – Krukowski cisnął kapeluszem o podłogę. – Alojzy, Schwarz uciekł. Utknęliśmy!

– Pospiesz się! Sam nie dam rady...

Ajzen ciągnął za potężne uchwyty opancerzonych drzwi. Te ani drgnęły.

– *Bitte, lass mich raus!*... Wypuście mnie! – rozległ się stłumiony głos Walda zza grubej warstwy stali.

– Ki diabeł... To chyba mechanizm podobny do stosowanego w zamkach na Pomorzu przez Krzyżaków i Templariuszy. Łatwo takie drzwi zamknąć, ale z powodu pochylonej osi zawiasów, do otwarcia potrzeba niesamowitej siły.

Ajzen i Krukowski złapali wspólnie za uchwyty.

– Na trzy...

Ciężar stali ustąpił. Centymetr za centymetrem, rosła nadzieja na uwolnienie Walda. W końcu szczelina była na tyle duża, by doktor Wald przecisnął się na zewnątrz, chwytając łapczywie powietrze.

– *Danke*... Dziękuję wam!...

Ajzen i Krukowski nie utrzymali dłużej masywnych wrót. Puszczone, zamknęły się na powrót z głuchym tąpnięciem. Wald ze łzami w oczach opadł na krzesło przy jednym ze stanowisk w laboratorium. Twarz ukrył w nieodłącznej chusteczce.

– Myślałem, że to koniec...

– Co tu się wydarzyło? Doktorze Wald, należą nam się wyjaśnienia!...

– *Ich verstehe es auch nicht*... Sam staram się zrozumieć. Nie miałem pojęcia, co on planował...

– Co takiego planował Schwarz?

– Schwarz? – machnął ręką Wald. – To baron von Rottenkartoffel. Udawał profesora architektury, by dostać się do podziemi zamku...

– A ty to kto, panie torcik?! Schwarz i Wald... Wiedziałem, że coś tu śmierdzi na kilometr! – Ajzen złapał Niemca za poły marynarki.

– *Das bin ich!* To naprawdę ja, jestem adiunktem w Lipsku, a baron potrzebował pomocy w prowadzeniu badań historycznych!... Kiedy zorientowałem się, że chodzi o *Nazi Experimente*, chciałem się wycofać, ale zaczął mnie szantażować. Miałem tylko tu przyjechać i go uwiarygodnić...

– Więc wasza wizyta to żaden przypadek?

– Skąd... Wiedzieliśmy o podziemiach. Nawet o kominku... Ale nie miałem pojęcia o laboratorium!...

Ajzen puścił jego marynarkę.

– Lepiej, żebyś nie kłamał!

– O jakie eksperymenty tu chodzi? Czym zajmowali się Niemcy? I jaki związek z tym ma Schwarz? To znaczy... Rottenkartoffel? – dopytywał niecierpliwie Krukowski.

– Początkowo sądziłem, że chodzi o stary *Bunker* w podziemiach zamku. Pokażę wam coś, przez co mógłbym zginąć... Nie wolno mi zdradzić źródła, z którego pochodzi, *bitte*, nie pytajcie mnie o to – Wald spojrzał na Polaków z przerażeniem.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął pożółkły arkusz. Z pietyzmem rozłożył go na stole.

– Na planie nie ma legendy, by nie zdradzić lokalizacji ani celu istnienia tego obiektu. Ale jeśli się przyjrzeć, odpowiada on sandomierskiemu zamkowi. Zrozumiałem dopiero, kiedy tu weszliśmy... Baron przyszedł tu z konkretnym zamiarem, a gdy chciałem go zatrzymać, ten zamknął mnie w magazynie. Plany barona są *undenkbar*... To znaczy, nie do pomyślenia!

Wald podszedł do jednej z szaf pancernych i wyjął z niej metalową walizkę oznaczoną literą „A”. Wewnątrz, w dziesiątkach małych przegródek leżały niewielkie czerwone półprzezroczyste kamyczki.

– Bursztyny?

Wald spojrzał Ajzenowi głęboko w oczy.

– Nie chodzi o kamień, ale co ukryto wewnątrz. – Rzekł powoli. Ujął w dwa palce kamień z przegródki podpisanej „Albrecht, Alwin-Broder”. Poświecił latarką na bursztyn, w którym zaśniła ciemniejsza plamka.

– Czy Albrecht to nie ten oficer nazistowskiej marynarki wojennej, który został adiutantem Hitlera i zginął, ochraniając go podczas bitwy o Berlin?

– Tak, a dokładniej jego *Blut*.

– Jego krew?!

Wald skinął głową.

– Nie pierwszy raz naziści szukali inspiracji w naturze. Jaka jest ich żywotność próbek w *Formalin*? Co innego bursztyn! Jeśli w żywicy owady mogły zachować się przez miliony lat, to co najmniej tyle czasu miałyby przetrwać rasa panów. Baron von Rottenkartoffel sądzi, że może na nowo powołać do życia autorów ostatecznego rozwiązania...

– Nonsens! – Przerwał Krukowski. – To już było w filmach o wskrzeszanych dinozaurach. Hitlerowcy nie mogli wiedzieć o znaczeniu DNA! Helisę odkryto dopiero w latach pięćdziesiątych!

– I nie wiedzieli. Wszystko, co się tu odbywało, to *Experimente*. Rozejrzyjcie się: laboratorium jest wielkim *biologische* archiwum. Ciała zmarłych, kartoteki

medyczne, próbki krwi... Baronowi zależy na ekstrakcji biologicznej i nie cofnie się przed niczym. Ponoć nawiązał już kontakt z potomkami rodzeństwa Hitlera w Stanach Zjednoczonych... Nie wiedziałem jednak, w jakim celu!...

Krukowski złapał się za głowę.

– Nie mamy takiej technologii!

– Ten szarlatan może być bardziej niebezpieczny, niż się wydaje... – zastanowił się ze spokojem Ajzen. – Nawet, jeśli nie wskrzesi *Führera*, czy możecie wyobrazić sobie zastrzyk energii, jaki otrzyma ruch nazistowski, kiedy odnajdą się relikwie Goebbelsa, Himmlera i Ribbentropa?

– *Schnell*. Musimy się pospieszyć, można go jeszcze zatrzymać. Baron wziął ze sobą tę najszkaradniejszą walizkę, oznaczoną literą „H”...

– Doktorze, zapomina pan, że jesteśmy tu zamknięci.

– A pan zapomina, że mamy to – Wald uśmiechnął się niespodziewanie i zastukał palcami po blacie stołu z planem podziemi. – Tamto wejście nie jest jedynym. Szkoda, że nie wiedział o nim ten biedak, który został w fotelu.

– Zanim wyjdziemy... Co znajduje się za tymi cholernie ciężkimi drzwiami, gdzie zamknął pana baron?

– To... – Wald przetłknął nerwowo ślinę. – To są opancerzone *Türe* do pomieszczenia przeznaczonego do magazynowania wzbogaconego uranu.

– Niewiarygodne...

– A jednak.

Żelbetonowy tunel wznosił się miarowo. Zawilgocone, mdłe powietrze utrudniało oddychanie.

– Czy ten korytarz nigdy się nie skończy?

– Martwiłbym się o to, czy wyjście jest drożne.

– Spójrz, prześwit!

Snop światła padał z małego otworu na końcu tunelu. Świtało. Po usunięciu zalegających cegieł i kamieni, ukazało się dno wykopu.

– Kielnia, łopaty, taśmy, poziomica... To stanowisko archeologiczne u Dominikanów, przy kościele świętego Jakuba!

Mężczyźni dostrzegli postać w białym habicie, żegnającą się na ich widok w przerażeniu.

– Jak się tu dostaliście?! Furta jeszcze zamknięta!...

– Zostanę porozmawiać z opatem, a ty, Frodoryku, ruszaj do zamku! Powstrzymaj barona!

Frodoryk wbiegł ostatkiem sił na dziedziniec zamku, skąd dobiegł go huk helikoptera.

– Spóźniłem się!...

Maszyna krążyła jednak, szukając lądowiska. Baron nie zdążył uciec. Krył się, czekając na transport. Gdy pilotowi nie udało się wylądować, z helikoptera opadła drabinka.

– Rottenkartoffel, rzuć walizkę!

– *Vergiss es!* Zapomnij.

Baron wspiął się już do połowy wysokości drabiny, gdy gwałtownie się zachwiał. Utrzymał się w powietrzu, lecz trzymana w dłoni kasetka zakotłosała się wściekle. Przestarzałe zatrzaski puściły. Na plac zamkowy posypała się bursztynowa kaskada.

– *Nein!!!*

Helikopter oddalał się. Baron wyciągnął tęsknie dłoń w stronę lśniących na bruku bursztynów. I on, i Krukowski wiedzieli, że niepodpisane żywiczne kamyki, w których zakłęto krew Hitlera, Himmlera, i setek innych nazistów, pozostaną niezidentyfikowane.

– To jeszcze nie koniec!... *Noch nicht!*...

Krukowski wybierał bursztyny, nim zjawili się turyści. Zasypano wykop u Dominikanów, a atrapę kominka замуrowano. Świat nie był gotowy na wieść o laboratorium Trzeciej Rzeszy w podziemiach sandomierskiego zamku. Czy kiedykolwiek będzie?

Andrzej Zieliński

Kiltz



J. OZGA' 18 "KILTZ"

Obywatel #421551A, znany niegdyś jako X szedł przez przecznice Kiltzu, zamierzając wstąpić do punktu fryzjerskiego. Niegdyś jako szanowany technik jądrowy, X został wyrzucony z kasty światłej, bo niektóre z jego poglądów zostały uznane przez komputer pokładowy za niebezpieczne. Miał wtedy 23 lata i tak naprawdę to miano go zabić, ale w końcu pozwolono mu odejść i dożyć sędziwego wieku w dolnym mieście, jeśli nigdy nie będzie rozpowiadał nikomu prawd kasty światłej. X posłuchał i jak każdy 50-latek funkcjonował sobie jakoś w dolnym mieście, nie przysparzając nikomu problemów.

Kiltz, czyli miasto, w którym X mieszkał, było typowym miastem XXIII wieku. Czarne jak śmierć, pozbawione barw, bo barwniki już od dawna były zakazane ze względu na ich praktyczną bezużyteczność. Warto jednak zaznaczyć, iż czynności kosmetyczne wymagające jedynie niewielkich ilości energii, tak jak na przykład zmienianie fryzury poprzez zagrzewanie były dozwolone. Kiltz było w kształcie idealnego kwadratu o boku dziesięciu kilometrów z dokładnie i symetrycznie uporządkowanymi przecznicami. W samym środku miasta była ogromna wieża zwana „Filarem”. Budynek ten miał pięć kilometrów wysokości i aż kilometr średnicy u podstawy, a na samym czubku miał idealny ośmiościan foremny. Nie była to największa tego typu budowla na świecie, ale i tak robiła wstrząsające i zastrasżające wrażenie u każdego, kto na nią patrzył. Brak okien, nieprzenikniona czerń oraz kolczasta faktura. Jeszcze kilka wieków wcześniej coś takiego byłoby wizją najgorszych koszmarów, a nie miejscem, gdzie każdy chciałby żyć.

W Filarze mieściły się kwatery i przestrzeń działań całej kasty światłej, super-reaktor jądrowy oraz zasilany przez niego komputer pokładowy typu GHTRx321P zwany „Wizją”. Była to jedna z najinteligentniejszych i najwspanialszych istot, jaka kiedykolwiek powstała na Ziemi. Zawiadywał on praktycznie wszystkim w Kiltzu i jedynie najwyżej postawione jednostki z kasty światłej, czyli tak zwani dowodzący mogli w pewnym stopniu kwestionować jego decyzje.

X jako jedna z niewielu urzędujących w dolnym mieście osób, pochodził z kasty światłej i znał prawdziwą historię świata w odróżnieniu od większości ludzi, którym na co dzień była tłoczona do mózgów propagandowa papka. Jak zwykle podczas spacerów X rozmyślał nad przeszłością. Był jednym z niewielu w dolnym mieście, którzy tak naprawdę wiedzieli cokolwiek o Kiltzu. X bardzo dobrze pamiętał lekcje historii, które pobierał, gdy był jeszcze w kaście światłej. Po wygnaniu jako jedyny w swoim otoczeniu wiedział o tym, że jeszcze przed drugą wielką wojną atomową w miejscu Kiltzu stało

prymitywne miasteczko o nazwie „Kielce”, lecz pod koniec tejże wojny zostało ono zrównane całkowicie z ziemią, a ludność, która zamieszkiwała je i jego okolice została wyrżnięta co do jednego, a na miejscu dawnego miasteczka powstał właśnie Kiltz. Cała ta historyjka, że niby Kiltz powstał przez lata ciężkiej pracy i rozwoju, była jedną wielką bujdą podawaną ludziom dolnego miasta, by myśleli, że przeszłość ich przodków jest kolorowa.

Podczas tych przemyśleń X zawsze przypominał sobie o legendarnej sieci „Internet”, czyli niegdyś praktycznie nieograniczonego źródła informacji zasilającego umysły ludzi na całym ówczesnym świecie. Ta utopijna wizja zawsze wydawała się mu niemożliwa, ale ze wszystkich źródeł, do jakich miał dostęp, jasno wynikało, że sieć ta faktycznie istniała. X porozmyślałby sobie jeszcze dłużej, ale dotarł już do punktu fryzjerskiego.

X wszedł do budynku, skanując przy tym swojego osobistego czipa, którego miał zaszczipionego w ręce. Chciał sobie zmienić fryz na tak zwanego „irokeza”, czyli starożytne i niezbyt już popularne w XXIII wieku ułożenie włosów. Ostatnio było głośno o takim przestępcy, co wyrwał sobie czipa, nazwał się „Tormentorem” i groził, że znajdzie sposób na unicestwienie kasty światłej. Choć X takich działań oczywiście nie popierał, to bardzo spodobała mu się wygląd tego gościa i dlatego właśnie zdecydował sobie sprawić nowy fryz. Zapłaciwszy poprzez ponowne zeskanowanie czipa, X wsunął głowę do komory fryzjerskiej, gdzie robot miał mu wygrzać nowiutkiego irokeza.

Główny dowodzący prowadził właśnie codzienne zebranie zarządu kasty światłej, lecz nagle rozległ się wielki huk i światła przygasły na chwilę. Z tego powodu zdecydował się wykonać zapytanie do komputera pokładowego, ale tamten nie odpowiedział. Uświadamiając to sobie, bardzo się zaniepokoił i natychmiastowo wykonał telefon przez służbę myślową do kontrolera Wizji, by upewnić się, że wszystko jest w porządku. Gdy tylko sygnał został odebrany, główny dowodzący usłyszał głos spanikowanego kontrolera.

– Coś takiego nigdy się nie wydarzyło panie dowodzący! – krzyknął kontroler Wizji, przez służbę myśli do dowództwa kasty światłej.

– Co się tam dzieje? Dlaczego przez chwilę wygasło światło? – odparł pytając główny dowodzący z powrotem do kontrolera.

– Coś strasznego stało się z super-reaktorem i nastąpiło wielkie przełączenie. Wizja jest martwa. Podłączyliśmy starą aparaturę, a miasto działa na awaryjnym zasilaniu. Wygląda na to, że reaktor jest poważnie uszkodzony i sytuacja wymaga interwencji. W przeciwnym razie rdzenie się stopią i będzie katastrofa – wydukał kontroler.

– Zdołacie to jakoś opanować? – odparł dowodzący.

– Niestety, od kiedy zamontowano Wizję w Kiltzu, to właśnie ona sprawowała władzę nad reaktorem, kontrolowała go i naprawiała. Według konsolki usterka jest do opanowania, ale nie mamy już specjalistów, bo wszyscy wyjechali do miast posiadających mniej rozwinięte superkomputery, a nasz jest kompletnie martwy. Jesteśmy bezbronni.

– Znaleźć mi w zapasowej bazie danych jakiegoś emerytowanego gościa od jądrówek czy kogokolwiek kto mógłby się nam przydać – rozkazał głównodowodzący osobom zebranym w Sali.

– Jest taki jeden typ panie. Numer #421551A. Według starych spisów był kiedyś technikiem jądrowym, ale został zesłany na dolne miasto za toksyczne poglądy – odpowiedział po chwili jeden z zebranych.

– To pewnie X... Namierz go i wezwij tutaj w jakiś sposób. Kod czerwony – syknął dowodzący natychmiastowo.

– Uruchamiać procedurę sarkofagu – rozkazał następnie reszcie.

X wygramoliwszy się z komory fryzjerskiej, ruszył w stronę drzwi wejściowych budynku, ale jeszcze zanim zdołał dotrzeć, to zamknęły się one wraz z oknami, odcinając tym samym wszystkie drogi wyjścia z budynku i uziemiając X oraz innych ludzi przebywających w punkcie fryzjerskim. Na wszystkich tablicach migały na czerwono komunikaty nakazujące, by poczekać na kolej ewakuacji, a niesamowicie głośna syrena brzmiała mrozącym krew w żyłach wyciem.

Wtem X poczuł, jak wibruje mu tablet osobisty, więc spojrzał na niego i odczytał widniejący na nim komunikat.

„Obywatel #421551A jest niezwłocznie wzywany do głównego wejścia Filaru. Kod czerwony. Każda minuta zwłoki może mieć fatalne skutki”.

X zadrżał. Uświadomił sobie, że coś bardzo złego się stało. Nie czekając ani chwili podszedł do opancerzonych drzwi, przez które tłumek ludzi próbował się przedzierać, ale kontrolka odrzucała każdy wniosek o otworenie przejścia. X wyciągnął lewą rękę, w której miał wszczepiony czip i przytknął ją do terminala. Program zawtórował o odgórnej autoryzacji i natychmiastowo otworzył drzwi.

X wraz z innymi ludźmi wybiegł z budynku i się rozejrzał. Wszędzie migotały czerwone światła, natomiast z czterech stron miasta zaczęły się wyżynać trójkątne czarne ściany. Dopiero wtedy X zrozumiał co się naprawdę działo. Budował się sarkofag, co oznaczało, iż super-reaktor musiał ulec tragicznej awarii. To również tłumaczyło, dlaczego akurat on został wezwany do Filaru.

Uświadomiwszy sobie powagę sytuacji, X rozpoczął bieg w stronę najbliższego przystanku „Torpedy TJL”, czyli superszybkiej instalacji przesyłowego transportu jednostek ludzkich. Był to jedyny używany w Kiltzu środek transportu. Nawet kasta światła nie posiadała wozów i okrętów powietrznych, więc odebranie go nie wchodziło w grę. Niemniej jednak w odróżnieniu od innych obywateli miasta X nie był zawracany ani w żaden inny sposób niepokojony przez komunikaty. Widać było, że odgórny priorytet został na niego nałożony również w kwestii przemieszczania się po ewakuowanym dolnym mieście. Podczas biegu X patrzył czubek Filaru, czyli na czarną ośmiościenną kostkę, z której wystrzeliły poziomo cztery ogromne pręty układające się w znak krzyża. Pręty te podłączywszy się do wysuniętych już maksymalnie czterech trójkątnych ścian dookoła miasta, zaczęły wierzchołki tych ścian powoli przyciągać do czubka Filaru, tworząc tym samym monstrualną pokrywę w kształcie piramidy.

W momencie, gdy sarkofag domknął się całkowicie, to ulice i budynki zapłonęły głębokim szkarłatem. Jedyne dwa kolory, jakie pozostały w Kiltzu to czerwień i czerń. Wszędzie były komunikaty kontrolujące tłumy, a na powierzchni ulic widniały świecące czerwone strzałki pokazujące drogę i kolejność ewakuacji przez windy do podziemnego schronu. Wszystko to przy wszechobecnym wyciu mrozącej krew w żyłach syreny.

X spojrzał jeszcze raz na swój tablet i odczytał, że jest już 350 metrów od najbliższej stacji Torpedy TJL. Pognał w jej stronę, mając nadzieję, że i tam zostanie on przepuszczony.

Kapitan i snajper wspięli się na szczyt budynku stacji Torpedy TJL i rozpostarli osłonę maskującą dookoła siebie. Ewakuacja ludności była najlepszą okazją na złapanie poszukiwanego już od dwóch tygodni Tormentora, czyli szaleńca co zdołał wyrwać sobie czip i ukrywać się aż do teraz. Chwilę po tym, jak sarkofag się domknął, to Kapitan wytropił jakiegoś osobnika przybliżającego się do stacji Torpedy TJL.

— Widzisz tego typu Hans? Weź, zbadaj go i to szybko – zwrócił się kapitan do snajpera.

— Kapitanie! Zerwaliśmy się szybko z powodu ogłoszonej ewakuacji. Nie zdążyliśmy przecież zabrać dalekosieźnego czytnika czipów – odparł natychmiastowo strzelec.

— Przybliź mi go i rzuć na ekran – rozkazał kapitan.

Snajper podał mu tablet pokazujący na żywo przybliżoną postać biegnącego człowieka. Twarzy nie dało się rozpoznać, ale sylwetka głowy mówiła tylko jedno. To był Tormentor.

– Wyjmuj synergiczny dezintegrator. To on. Widać ten jego głupkowaty fryz. W dodatku wszystko go przepuszcza, jakby w ogóle go tam nie było. Roboty nie wyczuwają go, bo nie ma czipa – rozkazał Kapitan.

– Kapitanie... A co jeśli ten to jest ten typ od reaktora, co go centrala wzywa? – odpowiedział snajper powoli, wyciągając broń.

– Czy myślisz, że ten gość zrobiłby sobie włosy jak przestępca i latał niczym uciekinier po mieście podczas ewakuacji? Nie zrzedź i rozwał go, puki mamy okazję. – odrzekł kapitan, pokazując snajperowi na tablecie zdjęcie obywatela #421551A zrobione za czasów, gdy ten jeszcze był w kaście światłej.

Snajper wycelował synergiczny dezintegrator prosto w biegnącego człowieka. Strzał z tej broni miał równe sto procent szansy na zabicie, bo nieodwracalnie porażał wszystkie układy i narządy w całym ciele, więc nie było mowy, żeby przestępca zbiegł. Snajper pociągnął za spust i gruba wiązka jasnego zielonego światła przypominająca laser wystrzeliła z dezintegratora, rozświetlając czerwono-czarną scenerię ewakuowanego miasta morderczą zielenią.

Biegnący człowiek został ugodzony wiązką, zatoczył się i upadł. Następnie poczołgał się jeszcze trochę i z przeraźliwym jękiem niedowierzania skonął.

– A co jeśli to jednak był ktoś inny kapitanie? – powiedział snajper zaniepokojony tym, jak człowiek zachował się po trafieniu z dezintegratora.

– Nawet jeśli, to co? To tylko jakiś mały, szary człowiek – odparł kapitan.

Postowie

Agnieszka Majcher

Destylując niepokoje

Opowiadanie jest trudną formą, wymagającą dyscypliny i precyzji. Dobrze skomponowane daje czytelnikowi okazję do szybkiej, lecz głębokiej, refleksji. Czytając teksty konkursowe dostrzegłam, że science fiction jest nadal zwierciadłem, w którym przeglądają się czytelnicy i autor, wnikliwie, jak pierwszych zmarszczek, doszukując się odbicia naszych nadziei i lęków. I mimo wysiłków, zawsze pozostajemy na ziemi. Snujemy marzenia o kontakcie międzyplanetarnym, ale, jak napisał Jerzy Jarzębski w postwowie do „Solaris”, to nie wyjście *naprzeciw ku inności* a *poszerzanie sfery specyficznie ludzkiej komunikacji i sensu tak, by się w niej pomieściły inne światy*. Jak mówił bohater Lema: *Nie szukamy nikogo oprócz ludzi. Nie potrzeba nam innych światów. Potrzeba nam*

luster. Nie wiemy, co począć z innymi światami. Wystarczy ten jeden, a już się nim dławimy. Chcemy znaleźć własny, wyidealizowany obraz; to mają być globy, cywilizacje doskonalsze od naszej, w innych spodziewamy się znowu znaleźć wizerunek naszej prymitywnej przeszłości. Tymczasem po drugiej stronie jest coś, czego nie przyjmujemy, przed czym się bronimy, a przecież nie przywieźliśmy z Ziemi samego tylko destylatu cnót, bohaterskiego posągu Człowieka!

Być może świadomi tego, niektórzy autorzy z premedytacją portretują wyczekiwany KONTAKT w sposób bardzo swojski, świętokrzyski – zgodnie z warunkami konkursu, jak choćby umieszczając przybyszów przy jednym stole z Ziemianami – nad butelką, nomen omen dobrze destylowanej, „księżcówki”. Nie wszyscy autorzy jednak uciekają w kosmos. Niektórzy ukazują czytelnikowi alternatywne światy czy historię. Zgodnie z wymogami, dużo opowiadań reprezentuje fantasy, a nie science fiction, ale nawet one rzadko poprzestają na wykreowaniu fantastycznych elementów świat przedstawionego i często piętnują realne bolączki otaczającej nas rzeczywistości. Bardzo wiele opowiadań przybliża nam świat utopii, a raczej jej brzydkiej siostry, która zdominowała ten gatunek w wieku XX – dystopii. Rozwój technologii nie doprowadza ludzkości do powszechnego szczęścia i dobrobytu, ale utrwała podziały i dezinformację.

Nie da się tu uniknąć skojarzeń z istniejącymi antyutopiami, jak choćby z orwellowską. Język świata science fiction jest pełen neologizmów, które kształtują w obywatelach obraz widzenia świata i można je zakwalifikować do nowomowy. Michał Głowiński opisuje, w jaki sposób modyfikuje ona komunikację językową. Poszerzanie znaczenia słów, zwężanie czy ograniczanie zastosowania do wybranej sytuacji skutkują przesunięciami semantycznymi. Jednak nowomowa stoi w opozycji do charakteryzującej się wariantowością mowy potocznej, kreuje formy rytualne i ma sloganowo-retoryczny charakter przekazu.

Uwielbiam „Kongres futurologiczny” Lema, bo wyróżnia się spośród innych futurystycznych prognoz. Zauważył to w swoim postulu do książki Jerzy Jarzębski, wyjaśniając, że dzięki sprytnemu zabiegowi fabularnemu dzieło to łączy optymistyczne i pesymistyczne prognozy: przedstawia zarówno krainę wiecznej szczęśliwości, gdzie marzenia się spełniają i żyje się wiecznie, jak i państwo kontrolujące obywateli dzięki środkom wysoce halucynogennym, bowiem na końcu utworu bohater odkrywa, że mieszkańcy ziemi żyją w niezwyklej nędzy, z której nie zdają sobie nawet sprawy. Ten niewielkich rozmiarów utwór jest ogromnie wymowny, ponieważ Lem

w niezwykle przenikliwy sposób opisał zmiany w percepcji rzeczywistości, które dziś, w drugiej dekadzie XXI wieku są obserwowane codziennie. Jak pisze Jarzębski: *Lem od wielu lat podkreśla, że kultura i technologia współczesna wiodą stopniowo do coraz ciaśniejszego zamknięcia jednostek w fikcyjnych, odgrodzonych od rzeczywistości światach. Wirtualna rzeczywistość, kreowanie awatarów i prowadzenie alternatywnego życia w świecie online nie jest obecnie niczym szokującym. To samo zjawisko opisuje Žižek, podkreślając zatracenie się jaźni w cyberprzestrzeni i zdefiniowanie na nowo „wielkiego Innego”. Zdaniem Jarzębskiego, możliwy scenariusz będzie następujący: W przyszłym świecie pogarszającym się warunkom ludzi [...] może towarzyszyć polityka „zastaniania” tych niedogodności przez masową ucieczkę w sztuczne, fantomowe rzeczywistości. Taki „Kongres futurologiczny”, jak i wiele innych opowiadań, włączając niektóre z niniejszej antologii, to poważny głos dotyczący kondycji ludzkości, nie zaś tylko groteskowe opowieści o fantastycznej przyszłości.*

Pojawienie się na przełomie lat 80. i 90. ubiegłego wieku masowych przekładów popularnej literatury SF z USA, wraz z nieskrępowanym napływem kinematografii zachodniej, doprowadziło do olbrzymiej popularności gatunku, którego wzorce są znane i powszechnie naśladowane. Kilka dekad temu Polacy nie mieli do niego nielimitowanego dostępu. Ów brak równowagi między polską a amerykańską kulturą science fiction zauważał Michael Kandel, amerykański tłumacz Lema, jak wynika z relacji z Warszawskiego Festiwalu SF, na który został zaproszony w maju 1997. Wspominał on wtedy o eksporcie i imporcie literatury. Zaprezentował stan tegoż gatunku w poszczególnych krajach i wskazał na zbieżności i rozbieżności w jego funkcjonowaniu w różnych kulturach. Poza małymi wyjątkami, jak Lem, Verne, Strugaccy, nieamerykańska literatura science fiction niezwykle mozolnie przebija się i zdobywa popularność w kulturze amerykańskiej. Kandel zdawał sobie sprawę, że to obszar zdominowany przez pisarzy z USA i to ich utwory nadają kierunek rozwojowi tego gatunku w Polsce, a fakt tłumaczenia tekstu na angielski oznacza, że wyraźnie wzrasta prestiż jego autora. Dał też w swojej wypowiedzi wyraz spostrzeżeniu, że Polacy mają świetne rozeznanie na temat tego, co dzieje się w amerykańskiej literaturze science fiction, być może nawet lepsze niż Amerykanie. Przyczynę tego dostrzegł właśnie w tym, że w krótkim czasie uzyskali oni dostęp do przekładów tekstów kilku generacji autorów zza Atlantyku...

A ja od siebie licznych tłumaczeń za Atlantykiem życzę autorom naszej publikacji.

Emmanuella Robak

Rusałka leci w kosmos

Opowiadanie często stanowi pierwszy krok do świata literatury. Wielu znanych pisarzy przyznaje, że swoją przygodę ze słowem zaczynali właśnie od opowiadań, a i do dziś dla wielu stanowi ono najlepszą formę ekspresji. Opowiadanie bywa jednak pułapką – powinno być całością, spójnym przekazem, powinno zaciekać, a przede wszystkim nie rozczarować, a bardzo często bywa tak, że wiele ciekawych pomysłów nie zostaje w pełni zrealizowanych – zakończenie bywa pisane „na siłę”, akcja przegadana, narracja staje się nielogiczna, wielowątkowość utrudnia odbiór tekstu. Taką też strategię przyjąłem, oceniając nadesłane na konkurs prace – szukałem nie tylko ciekawych pomysłów, ale przede wszystkim spójności w narracji. Szukałem opowiadań, w których intrygujący początek ma równie ciekawy, bądź zaskakujący finał.

Oddana w ręce czytelników antologia jest zbiorem różnorodnych tekstów – tych bardziej refleksyjnych, tych zabawnych, czy tych, które przenoszą czytelnika w alternatywne światy, stworzone przez autorów. Antologie zazwyczaj trafiają w gusta nawet najbardziej wymagających, czy krytycznych czytelników gatunku, by wspomnieć choćby zbiory fantastyczne: „Trzyście kotów”, gdzie bohaterem każdego z opowiadań jest futrzak (niekoniecznie czarny i niekoniecznie puchaty), „Inne Światy” – jedno z nowszych wydawnictw, gdzie inspiracją do stworzenia tekstów były niezwykle nośne prace

malarskie Jakub Różalskiego, „PL+50. Historie przyszłości” ukazujące alternatywne wizje Polski Anno Domini 2054, czy doskonale znany cykl „Wizje Alternatywne”, w których znajdziemy całą masę różnych propozycji widzenia i odczytywania świata(ów). Wymienione tytuły, to oczywiście wielkie nazwiska – Jacek Dukaj, Jarosław Grzędowicz, Stanisław Lem, Krzysztof Dębski, Andrzej Pilipiuk, Andrzej Sapkowski, Maja Lidia Kossakowska czy nawet Remigiusz Mróz. Na rynku pojawiają się także antologie zawierające utwory debiutantów bądź tych, którzy jeszcze nie są znani szerszej publiczności – „X. Antologia opowiadań fantastycznych” pod redakcją Adama Podlewskiego, czy właśnie niniejsza propozycja – „13 fantastycznych”.

Czym wyróżnia się antologia „13 fantastycznych”? Motywem spajającym teksty są nawiązania, jawne bądź metaforyczne, do lokacji, legend wywodzących się z regionu świętokrzyskiego. Źródeł inspiracji jest wiele, a niezwykle ciekawie czyta się np. nowe wersje znanych przypowieści lub prawdziwych historii. Nikt nie powiedział, że legendy nie mają swoich „dalszych ciągów”, bo kto wie, czy któraś ze świętokrzyskich rusałek nie przemierza w tej chwili kosmosu w poszukiwaniu jelenia ze złotym krzyżem?

Zadanie dla uczestników konkursu – osadzenie wydarzeń opowiadania w konkretnej przestrzeni albo parafraza legendy, było i łatwe, i skomplikowane. Łatwe dla tych, którzy znają lokalne legendy czy niezwykle urokliwe miejsca, które bez problemu można wykorzystać, jako przestrzeń do tworzenia autorskich światów. Trudne dla tych, którzy nie pochodzą z regionu, którzy muszą w wyobraźni twórczo przetworzyć (albo odtworzyć), prawdziwe lub legendarne lokacje i relacje. Autorzy poradzili sobie jednak z zadaniem znakomicie. Pisali o smokach, magicznych miksturach, niesamowitych zwierzętach, tajemniczych miejscach, na bohaterów swoich opowiadań wybierali postaci realne i fantastyczne, ale nawiązywali do świętokrzyskich legend, przedstawiali znane miejsca w zupełnie nowych odsłonach, przenosili nas w alternatywne światy – Gór Świętokrzyskich, do sandomierskich muzeów, ukrytych podziemi, lasów i jaskiń.

„13 fantastycznych” to zbiór, który powinien trafić w ręce zarówno fanów fantastyki, jak i miłośników krótkich form literackich, czy – wreszcie – pasjonatów regionu świętokrzyskiego. Różnorodność sprawi, że każdy znajdzie coś dla siebie, motywy fantastyczne trafią w gusta czytelników, a może nawet wydawnictwo zainspiruje świętokrzyskich explorerów do poszukiwania nieznanych dotąd stworów, które zamieszkują Kadzielnię, Święty Krzyż, czy Świętą Katarzynę albo do odkrywania nowych zakamarków regionu? Kto wie...

Biogramy

Autorzy

Mateusz Antczak

Geolog, paleontolog, popularyzator nauki. Fan techno-thrillera i fantastyki naukowej, autor „szortów” i opowiadań publikowanych m.in. na łamach „Szortalu na Wynos”, „Białego Kruka”, „Histerii” oraz antologii „Punks not dead” i „Mikrohistorii Sweek”. Były redaktor portalu „Kontra”. Laureat ogólnopolskich konkursów literackich, m. in. zdobywca Grand Prix w IV edycji Konkursu „Aurory” w 2014 r. i II miejsca w III edycji konkursu „Zostań Bajkowym Bohaterem”. Mieszka w Poznaniu.

Krzysztof Kochański

Urodzony 1958. Mieszka w Słupsku. Autor kilkudziesięciu opowiadań publikowanych w prasie, antologiach i tomikach autorskich. Opublikowane powieści: „Mageot”, „Bazta czarownic”.

Marek Kolender

19 lat. Pochodzi z Leśnicy w województwie opolskim i uczy się logistyki w Zespole Szkół Ekonomicznych w Opolu. Poza literaturą interesuje się m.in. historią, uprawia siatkówkę i piłkę nożną, chociaż raczej dla przyjemności. Inspiracje do swoich tekstów czerpie z różnych źródeł: z klasyki, mitów i legend oraz z popkultury. „Sabat” jest jego debiutem. Kończy pisać zbiór opowiadań.

Dominik Letner

Urodził się w 1988 r. w Krakowie. Ukończył studia anglistyczne we Wrocławiu, gdzie obecnie mieszka. Prowadzi firmę zajmującą się nauczaniem angielskiego i tłumaczeniami. Z zamiłowania pisarz fantasy i SF, a jego specjalnością są powieści. Napisał już kilka tomów, z których pierwszy jest w trakcie publikacji. W wolnym czasie lubi czytać książki, grać w gry komputerowe oraz jeździć na rowerze. Mieszka we Wrocławiu.

Adam Michalczyk

Germanista, nauczyciel języka niemieckiego. Zainteresowania literackie realizował w pracy z uczniami. Efektem był trzyletni kontakt z „Lyrix” – Radio Dusseldorf, spotkania z poezją uczniów: „Kawiarnia wiedeńska”, teatr uczniowski (spektakle w j. niemieckim w oparciu o teksty własnego autorstwa). Drukiem wydał dramat „Sen Oskara” oraz „Champions & Co.”, publikował felietony i opowiadania w magazynie www.rdi.org.pl Mieszka w Radomiu.

Anna Możdżeń

Urodzona 1984. Z wykształcenia filozof, antropolog kultury i niedokończony historyk sztuki. Z zamiłowania baśniolog. Publikuję artykuły o sztuce oraz prowadzę bloga *Absyntowa Wróżka*. Obecnie zajmuję się głównie badaniami nad ideą yokai w kulturze japońskiej i jej związkami z transhumanizmem w popkulturze oraz obecnością baśniowych wątków w wyobraźni kulturowej, dotyczącej wizji przyszłości (cyberpunk, postapo). Zdarza mi się też baśniologią zarabiać na życie w projektach storytellingowych. Łączę swoje zainteresowania naukowe z zagadnieniami marketingowymi. Pasjonuję się również antropogenezą, kulturami prehistorycznymi i etnobotaniką. Mieszka w Toruniu.

Iga Ostrowicka

20-letnia studentka dietetyki, z zamiłowania artystka, chciałoby się powiedzieć, że oryginalna, ale dziś bycie niezwykłym jest zwykłe. Piekę, gotuję, piszę, rysuję, czasem też muzykuję. Mieszka w Słupcy.

Paweł Sołtysiak

Absolwent Wydziału Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego, absolwent Kompozycji na Akademii Muzycznej im. I. J. Paderewskiego w Poznaniu. Studia podyplomowe w zakresie kompozycji we Wrocławiu, Warszawie, Łodzi. Zdobył kilka nagród i wyróżnień na konkursach kompozytorskich. Jest autorem muzyki do kilku spektakli teatralnych. Jest również absolwentem Podyplomowych Studiów Reżyserii Filmowej Warszawskiej Szkoły Filmowej. Mieszka w Warszawie.

Erwin Chrystian „Gumar” Stabrowski

Urodzony w 1996 r. absolwent Uniwersytetu Zielonogórskiego. Technik żywienia i usług gastronomicznych z zawodu kucharz, kelner, barista. Interesuje się sztuką, fantastyką, książkami i modelarstwem. Mieszka w Zielonej Górze.

Krzysztof „Eszet” Szkurłatowski

Urodzony w 1969 r. Wejherowianin, laureat kilkudziesięciu konkursów poetyckich, prozatorskich i fotograficznych. Debiutancki tomik poetycki („Pięć lat”), wydrukował w 1989 r. na szkolnym powielaczu. Teksty historyczne publikował m.in. w „Zapiskach Historycznych”, „Czasopiśmie Prawno-Historycznym”, „Sobótce”, „Ludziach”. Współpracuje z Informatorem Gdańskiego Klubu Fantastyki. W fotografii używa głównie technik tradycyjnych i historycznych. Wydał dwie książki fotograficzne – „Harc w sercu i w obiektywie” (2014) oraz „Czytelnicy” (2015).

Marek Tuz

Urodzony w 1999 r. Pochodzi ze wsi Dub, mieszka w Zamościu. Wychowany na twórczości Tolkiena i Sapkowskiego. Potem Pilipiuka, który stał się jego wzorem do naśladowania. „Gombrowiczowska kupa”, to jego pierwsze opublikowane dzieło. Studiuje slawistykę na Uniwersytecie Warszawskim, lecz w przyszłości chciałby wydać książkę i zostać pisarzem.

Karolina Werens

Pochodzi ze Stalowej Woli. Z wykształcenia tłumacz, technik archeologiczny i osteolog. Z zamiłowania dziennikarka. Obecnie poświęca się badaniom izotopowym jako doktorantka w Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego. W wolnych chwilach nie wypuszcza z ręki pióra.

Andrzej Zieliński

Uczeń I LO w Łodzi w klasie maturalnej o profilu matematyczno-fizyczno-chemicznym. Ma zamiar zostać studentem Uniwersytetu Medycznego. Interesuje się zachodnią animacją, grami komputerowymi oraz literaturą i filmami o tematyce fantasy/SF. W wolnym czasie lubi też pisać krótkie, przepełnione czarnym humorem utwory literackie, parodiujące życie szkolne (lub oraz poważne opowiadania fantastyczne. W przyszłości pragnie opublikować serię powieści z pogranicza fantasy i SF.

Zespół redakcyjny

Paweł Chmielewski

Absolwent filologii polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Redaktor naczelny magazynu kulturalnego „Projektor”. Publikował m.in. w „Studiach sienkiewiczowskich”, „Zeszytach Komiksowych”, „Ha!art”, „Komiks i my”, „Teraz”, „Zabawach i zabawkach”. Autor książek „Słowacki w supermarkecie”, „Słowacki w supermarkecie 2.0”, „Słowacki w McDonalddie”, „Trzech panów przy barze nie licząc Yorgiego” (w przygotowaniu), dramatów „Stacja końca świata” (nagroda II Programu PR), „Dno” (nagroda Teatru Ochota), „Ścigając cień” (nagroda Festiwalu „Transfuzje”), „Obywatel Szrajbman”; scenariuszy komiksów „Pociąg”, „Dwanaście prac Delt 800”, „Ósmy księżyc”, „Pułapka Gargancjana”, „Kot w butach”, „Delta 800: Misja” – rys. Tomasz Łukaszczyk, „Przygody Władka” – rys. Jerzy Ozga, „Paderewski w Białym Domu” – rys. Janusz Wyrzykowski. Prowadzi oficynę wydawniczą ST „Zenit”. Mieszka w Kielcach.

Agnieszka Majcher

Nauczycielka, tłumaczka, autorka wierszy i tekstów piosenek, wokalistka. Absolwentka Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Kielcach, doktorantka literaturoznawstwa na Wydziale Humanistycznym UJK w Kielcach. Specjalizuje się w przekładach na język angielski utworów Stanisława Lema. Wiersze anglojęzyczne publikowała w antologiach w Wielkiej Brytanii, m.in. „The Great British Write Off”. Teksty piosenek wykorzystuje w autorskich projektach muzycznych – Cognitive Dementia. Autorka bloga poetyckiego, translatorskiego i teatralnego. Publikowała w lokalnych periodykach oraz magazynie kulturalnym „Projektor”. Mieszka w Kielcach.

Jerzy Ozga

Malarz, rzeźbiarz, ilustrator, autor komiksów. Absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie – Wydział Grafiki w Katowicach. Publikował m.in. w „Fantastyce”, „Feniksie”, „AQQ”, „Komiks Forum”, „Komiks i my”, „Projektorze”. Autor storyboardu do filmu Lecha Majewskiego „Młyn i krzyż”, z którym współpracował również m.in. przy „Pokoju saren”, „Autobusie na Golgotę”, „Operze za trzy grosze”. Opublikował kilkadziesiąt komiksów (za „Moją ziemię obiecaną” otrzymał Grand Prix MFK w Łodzi w 2004 r.), wśród nich albumy: „Księga miecza”, „Misja rozpacz”, „Quo vadis”, „Ern”, „Salut bohaterom”, „Katyń”, „Yorgi” cz. I-IV, „Kapitan Gżebyk na tropie. Niedokończony raport”. Mieszka w Kielcach.

Emmanuella Robak

Doktor nauk humanistycznych (literaturoznawstwo) Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach. Wokalistka, autorka tekstów, kompozytorka, producentka muzyczna (Lily of the valley, Miranda Cartel). Publikowała m.in. w „Studiach Filologicznych UJK”, „Masce”, „Jednak Książki. Gdańskie Czasopismo Humanistyczne”, „Projektorze”. Jej zainteresowania literackie to przede wszystkim estetyka modernizmu w literaturze polskiej, a także angielska literatura oddająca ducha epoki wiktoriańskiej. Mieszka w Kielcach.

PROTOKÓŁ

2 lipca 2018 roku jury w składzie:

Paweł Chmielewski

redaktor naczelny magazynu kulturalnego „Projektor”, scenarzysta i dramaturg
(przewodniczący)

Agnieszka Majcher

doktorantka literaturoznawstwa UJK w Kielcach
(specjalizuje się w twórczości Stanisława Lema)

Emmanuella Robak

doktorantka literaturoznawstwa UJK w Kielcach
(specjalizuje się w twórczości Jerzego Żuławskiego)

po zapoznaniu się z 52 pracami nadesłanymi na konkurs na opowiadanie fantasty (lub SF)
związane z regionem świętokrzyskim, przyznała następujące nagrody:

Nagroda I

Karolina Werens „Noc krwawych bursztynów” za ciekawy pomysł nawiązujący do tradycji polskiej literatury młodzieżowej oraz interesującą intrygę sensacyjną i humor językowo-sytuacyjny.

Nagroda II

Paweł Sołtysiak „Składnik” za żartobliwe wykorzystanie motywów literatury fantasy i przewrotne nawiązanie do współczesnych trendów konsumpcyjnych oraz kreację głównego „bohatera”.

Nagroda III

Anna Możdżeń „Warkocze” za wykreowanie atmosfery nawiązującej do XIX – wiecznej literatury grozy.

Wyróżnienia:

1. **Mateusz Antczak** „RODO”

2. **Krzysztof Kochański** „Zapomniany”

3. **Marek Kolender** „Sabat”

4. **Dominik Letner** „Klub nocny Hellhole”

5. **Adam Józef Michalczyk** „Misja”

6. **Iga Ostrowicka** „Miejsce gdzie zniknęły gwiazdy”

7. **Erwin Stabrowski** „Wszczep niezawodny”

8. **Krzysztof Szkurłatowski** „Łysiec-Saragossa”

9. **Marek Tuz** „Gombrowiczowska kupa”

oraz zarekomendowała do druku opowiadanie **Andrzeja Zielińskiego** „Kiltz”.



ISBN 978-83-943720-9-5



9 788394 372095